

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



ALEKSANDER PUSZKIN

DUBROWSKI

WYDAWNICTWO TOWER PRESS

GDAŃSK 2002

TOM PIERWSZY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kilka lat temu mieszkał w jednej ze swych posiadłości staroświecki rosyjski szlachcic Kiryła Pietrowicz Trojekurow. Bogactwo, znaczny ród i stosunki jednały mu duże znaczenie w guberni, w której leżał jego majątek. Sąsiedzi radzi byli zawsze dogadzać wszelkim jego zachciankom, urzędnicy guberni drżeli na sam dźwięk jego imienia. Kiryła Pietrowicz przyjmował oznaki służalczości jak należną sobie daninę; dom jego zawsze był pełen gości, gotowych rozweselać jego pańską beczynność w głośnych, a niekiedy nawet rozhukanych zabawach.

Nikt nie ważył się odmówić jego zaproszeniu, nikt nie zaniedbał w oznaczone dni zjawić się z należnym uszanowaniem we wsi Pokrowskoje. W życiu codziennym Kiryła Pietrowicz zdradzał wszystkie przywary człowieka nieokrzesanego. Zepsuty przez otoczenie, przywykł do folgowania wszystkim popędom zbyt porywczego charakteru i wszystkim zachciankom dość ograniczonego umysłu. Pomimo niezwyklej wytrzymałości fizycznej, cierpiał z powodu obżarstwa i co wieczór bywał podchmielony. W jednej z oficyn jego domu mieszkało szesnaście pokojówek, które zajmowały się właściwymi ich płci robotami ręcznymi. Okna oficyny były przysłonięte drewnianą kratą, drzwi zamykane na kłódkę, od której klucz przechowywał Kiryła Pietrowicz. Młode pustelnice w określonych godzinach wychodziły do ogrodu i przechadzały się pod nadzorem dwóch staruszek. Od czasu do czasu Kiryła Pietrowicz wydawał kilka z nich za mąż, a na ich miejsce przychodziły nowe.

Chłopów i służbę dworską traktował surowo i samowolnie; pomimo to byli mu oddani, chępnili się bogactwem i sławą swego pana i z kolei nadużywali swych praw w stosunku do sąsiadów, licząc na jego możliwą opiekę.

Stałe zajęcia Trojekurowa polegały na wyjazdach do obszernych włości, na długotrwałych ucztach i na zbytkach, które co dzień obmyślał i ofiarą których padał zazwyczaj jakiś nowy znajomy, choć nawet, starzy przyjaciele nie zawsze zdołali ich uniknąć z wyjątkiem jednego tylko Andrzeja Gawryłowicza Dubrowskiego. Ów Dubrowski, dymisjonowany porucznik gwardii, najbliższy sąsiad Trojekurowa, władał siedemdziesięcioma pańszczyźnianymi chłopami. Trojekurow, wyniosły wobec ludzi najwyższego nawet stanu, szanował Dubrowskiego pomimo jego skromnego majątku. Kolegowali niegdyś ze sobą w wojsku i Trojekurow znał z doświadczenia niecierpliwość i stanowczość jego charakteru. Sławny rok 1762 rozłączył ich na długo. Trojekurow, krewny księżnej Daszkowej, zrobił karierę. Dubrowski, zrujnowany, musiał podać się do dymisji i osiedlić się w ostatniej swojej wiosce. Kiedy Kiryła Pietrowicz dowiedział się o tym, ofiarował mu protekcję, lecz Dubrowski podziękował i pozostał ubogim, ale niezależnym. Po kilku latach Trojekurow, już jako generał en chef w stanie spoczynku, powrócił do swego majątku; dawni przyjaciele odnaleźli się z wielką radością. Od tego czasu spotykali się co dzień i Kiryła Pietrowicz, który od urodzenia nie zaszczycił nikogo odwiedzinami, zajeżdżał bez ceremonii do domku swego starego towarzysza. Jako rówieśnicy, pochodzący z tego samego stanu, jednakowo wychowani, byli poniekąd do siebie podobni, zarówno z charakteru, jak i ze skłonności. Pod pewnym względem nawet koleje ich losu były podobne: obaj ożenili się z miłości, obaj szybko owdowieli, obaj mieli po jednym dziecku – syn Dubrowskiego wychowywał się w Petersburgu, córka Kiryły Pietrowicza rosła przy boku ojca i Kiryła Pietrowicz często mawiał: – Słuchaj, bracie Andrzeju Gawryłowiczu, jeżeli Wołodka wyrośnie na dorzecznego chłopaka, to wydam za niego Maszę, chociaż jest goły jak kołek. – Andrzej Gawryłowicz kręcił głową i odpowiadał zazwyczaj tak: – Nie, Kiryło Pietrowiczu, mój Wołodka to nie narzeczony dla Marii Kiryłowny. Ubogi szlachcic jak Wołodka powinien ożenić się z biedną szlachcianeczką i raczej być panem u siebie w domu, niż stać się rządcą u rozpieszczonej żonki. Wszyscy z zazdrością patrzyli na zgodę, jaka panowała między dumnym Trojekurowem a jego ubogim sąsiadem i podziwiali odwagę Dubrowskiego, który za stołem u Kiryły Pietrowicza wprost wypowiadał swoje zdanie, nie troszcząc się o to, czy było ono sprzeczne ze zdaniem gospodarza. Byli tacy, którzy usiłowali go naśladować i przekroczyć granice należnej uległości, ale Kiryła Pietrowicz tak ich zastraszył, że na zawsze odebrał im ochotę do podobnych prób i jedynie Dubrowski pozostał poza ogólnym prawem. Przypadek wszystko zepsuł i odmienił.

Pewnego razu na początku jesieni Kiryła Pietrowicz wybierał się na polowanie. Już poprzedniego dnia psiarzom i strzeżeniom wydano rozkaz, aby byli gotowi na piątą rano.

Namiat i kuchnię wyprawiono już tam, gdzie Kiryła Pietrowicz miał zamiar jeść obiad. Gospodarz poprowadził gości do psiarni, gdzie przeszło pięćset chartów i wyźłów żyło w cieple i dostatku, wychwalając swym psim językiem szczodroblivość Kiryły Pietrowicza. Znajdował się tam również szpital dla chorych psów i przytułek, nadzorowany przez nadwornego lekarza Timoszkę, a także specjalne miejsce, gdzie szlachetne suki oszczeniały się i karmiły swoje szczenięta. Kiryła Pietrowicz dumny był z tej wspaniałej instytucji i nigdy nie zaniebował okazji, by pochwalić się nią przed gośćmi, z których każdy oglądał ją już przynajmniej po raz dwudziesty. Kiryła Pietrowicz przechadzał się po psiarni w otoczeniu gości; asystowali mu Timoszka i naczelnicy psiarze; od czasu do czasu zatrzymywał się przed jakąś budą, to wypytywał się o zdrowie chorych, to czyniąc mniej lub bardziej surowe i sprawiedliwe uwagi, to znów przywołując do siebie znajome psy i dobrotliwie do nich przemawiając. Goście uważali za swój obowiązek zachwycać się psiarnią Kiryły Pietrowicza – jeden tylko Dubrowski milczał ponuro. Dubrowski był zapalonym myśliwym. Majątek jego pozwalał mu jedynie na utrzymywanie dwóch wyźłów i jednej sfory chartów, toteż nie mógł powstrzymać się od pewnej zazdrości na widok tej wspaniałej psiarni.

– Czemuś taki zasepiony, bracie? – zapytał go Kiryła Pietrowicz – czy nie podoba ci się moja psiarnia?

– Nie – odpowiedział surowo – psiarnia jest cudowna, wątpię, czy twoi ludzie mają takie życie jak twoje psy.

Jeden z psiarzy obraził się.

– My się na nasze życie – powiedział, dzięki Bogu i naszemu panu nie skarżymy, a co prawda, to prawda, że niejedyn goły szlachcic chętnie by zamienił swoją wioskę na pierwszą lepszą budę w tej psiarni. Miałby tu cieplej i lepiej by się tu najadł.

Kiryła Pietrowicz roześmiał się głośno, słysząc zuchwałe odezwanie się swojego poddanego, a goście zaśmieli się w ślad za nim, pomimo że czuli, iż żart psiarza można było zastosować również do nich. Dubrowski zbladł i nie powiedział ani słowa.

W tej samej chwili Kiryła Pietrowiczowi przyniesiono w koszyku nowonarodzone szczenięta. Zajął się nimi, wybrał dwa, a resztę kazał utopić. Tymczasem Andrzej Gawryłowicz znikł w taki sposób, że nikt tego nie zauważył. Wróciwszy z gośćmi z psiarni, Kiryła Pietrowicz siadł do kolacji i dopiero wtedy spostrzegł, że nie ma Dubrowskiego. Zaczął o niego pytać. Służba odpowiedziała, że Andrzej Gawryłowicz odjechał do domu. Trojekurow kazał go natychmiast dopędzić i koniecznie zawrócić z drogi. Stary szlachcic nigdy dotychczas nie wyjeżdżał na polowanie bez Dubrowskiego, który był doświadczonym i subtelnym znawcą psich zalet, a także niezawodnym sędzią we wszelakich myśliwskich

sporach. Sługa, który pogalopował w ślad za nim, wrócił, gdy wszyscy siedzieli jeszcze przy stole i zameldował swemu panu, że nie zdołał nakłonić Andrzeja Gawryłowicza do powrotu. Kiryła Pietrowicz, jak zwykle rozjątrzony nalewkami, rozgniewał się i po raz wtóry posłał tego samego służącego, aby powiedział Andrzejowi Gawryłowiczowi, że jeżeli natychmiast nie przyjedzie na nocleg do Pokrowskoje, to on, Trojekurow, na wieki się z nim pokłóci. Służący znowu pogalopował. Kiryła Pietrowicz wstał od stołu, pożegnał gości i poszedł spać.

Nazajutrz pierwszym jego pytaniem było: – Czy jest Andrzej Gawryłowicz? – Zamiast odpowiedzi podano mu złożony w trójkąt list; Kiryła Pietrowicz rozkazał swemu pisarzowi, aby odczytał pismo na głos. Usłyszał następujące słowa:

Wielce Miłościwy Panie!

Dopóty nie mam zamiaru jechać do Pokrowskoje, dopóki nie przyśle mi Pan psiarza Paramoszkę, aby wyraził należytą skruchę, a od mojej woli będzie zależało ukaranie go lub przebaczenie, bo ja znosić żartów Pańskich chamów nie mam zamiaru, a i z ust Pana też ich nie ścierpię – ponieważ nie jestem błaznem, lecz szlachcicem ze starego rodu. Za czym pozostaję pańskim pokornym sługą

Andrzej Dubrowski.

Wedle dzisiejszych pojęć o etykiecie list taki byłby bardzo nieprzyzwoity, ale Kiryłę Pietrowicza rozgniewał nie jego dziwaczny styl i układ, lecz właściwa treść.

– Jak to – zagrzemiał Trojekurow wyskakując boso z łóżka – ja mam wysłać swoich ludzi, aby prosili go o przebaczenie, a on chce mieć prawo ułaskawiania ich albo karania? Też sobie wymyślił!

A czy on wie, z kim zaczyna? Już ja mu pokażę! Napłacze się on jeszcze przeze mnie, przekona się co to znaczy zadzierać z Trojekurowem!

Kiryła Pietrowicz ubrał się i wyjechał na polowanie ze zwykłym w takich razach przepychem – lecz polowanie się nie udało. Przez cały dzień napotkali tylko jednego zająca, a nawet temu psy pozwoliły umknąć. Obiad w polu w namiocie również się nie udał, a przynajmniej nie przypadł do smaku Kiryle Pietrowiczowi, który pobił kucharza, zwymyślał gości i w powrotnej drodze z całą swoją kawalkadą, umyślnie pojechał przez pola Dubrowskiego.

Minęło kilka dni, a nienawiść pomiędzy dwoma sąsiadami nie wygasła. Andrzej Gawryłowicz nie powracał do Pokrowskoje, Kiryła Pietrowicz nudził się bez niego, a jego zły humor przejawiał się głośno w najbardziej obelżywych wyrażeniach, które dzięki gorliwości

szlachty z sąsiedztwa dochodziły do Dubrowskiego poprawione i uzupełnione. Nowa okoliczność zniszczyła ostatnią możliwość pogodzenia.

Dubrowski objeżdżał pewnego razu swoją niewielką posiadłość; zbliżając się do brzozowego gaju usłyszał uderzenia siekiery, a po chwili trzask walącego się drzewa. Pośpieszył do gaju i trafił na pokrowskich chłopów, którzy spokojnie kradli drzewo w jego lesie. Ujrawszy go, rzucili się do ucieczki. Dubrowski ze swoim woźnicą złapał dwóch spośród nich i przyprowadził związanych do dworu. Trzy nieprzyjacielskie konie również stały się zdobyczą zwycięzcy. Dubrowski był szczególnie rozgniewany: przedtem nigdy ludzie Trojekurowa, słynni zbójce, znając jego przyjazne stosunki ze swym panem, nie pozwalali sobie na żadne wybryki w granicach jego posiadłości. Dubrowski wiedział, że teraz skorzystali z wypowiedzenia wojny i postanowił wbrew wszelkim przepisom prawa wojennego dać swym jeńcom nauczkę różgami, w które oni sami zaopatrzyli się w brzozowym gaju, a konie oddać do roboty wpisując je do inwentarza swego majątku.

Wiść o tym wydarzeniu tegoż samego dnia doszła do Kiryły Pietrowicza, który stracił panowanie nad sobą i w chwili pierwszego gniewu chciał ze wszystkimi swymi dworskimi ludźmi dokonać zajazdu na Kistieniewkę (tak nazywała się wioska sąsiada), do cna ją zburzyć, a samego właściciela osadzić w swoim folwarku – takie bohaterskie czyny nie były u niego rzadkością. Lecz wkrótce myśli jego przyjęły inny kierunek. Przechadzając się ciężkimi krokami tam i z powrotem po salonie, spojrzawszy przypadkiem przez okno i dostrzegł stojącą przy bramie bryczkę zaprzęgniętą w trójkę koni – mały człowieczek w skórzanej czapce i bajowym płaszczu wysiadł z bryki i skierował się w stronę oficyny, do kantoru. Trojekurow rozpoznał w małym człowieczku asesora Szabaszkin i kazał go natychmiast wezwać do siebie. Po krótkiej chwili Szabaszkin stał już przed Kiryłą Pietrowiczem zginając się w uniżonych ukłonach i z pokorą oczekując jego rozkazów.

– Bywaj, jak tam się nazywasz – rzekł Trojekurow – po coś przyjechał?

– Jechałem do miasta, wasza ekscelencjo – odpowiedział Szabaszkin – i wstąpiłem do Iwana Diemianowa, by dowiedzieć się, czy nie ma dla mnie jakiego rozkazu od waszej ekscelencji.

– Bardzo w porę zajechałeś, jak tam się nazywasz; jesteś mi potrzebny; napij się wódki i posłuchaj.

Takie łaskawe przyjęcie przyjemnie zadziwiło asesora. Wymówił się od wódki i zaczął słuchać słów Kiryły Pietrowicza z wyteżoną uwagą.

– Mam sąsiada – powiedział Trojekurow – drobnego szlachciurę, grubianina, chcę odebrać mu majątek – co o tym myślisz?

- Wasza ekscelencjo, jeżeli istnieją jakieś dokumenty, czy też...
- Bujda, bracie, jakie tam znów dokumenty. Na to są ukazy. Cała sztuka w tym, żeby bez żadnego prawa odebrać majątek. Zaczekaj jednak. Ten majątek kiedyś do nas należał. Był kupiony od niejakiego Spicyna, a później sprzedany ojcu Dubrowskiego. Czy nie można by się do tego przyczepić?
- Trudno będzie, wasza ekscelencjo. Prawdopodobnie ta sprzedaż była dokonana w sposób legalny.
- Pomyśl, bracie, dobrze poszperaj.
- Gdyby wasza ekscelencja mogła w jakiś sposób wydobyć zapis, na mocy którego Dubrowski włada swoim majątkiem, no to oczywiście...
- Rozumiem, ale w tym sęk, że wszystkie papiery spłonęły mu w czasie pożaru.
- Jak to, wasza ekscelencjo, papiery mu spłonęły? Czegóż więcej potrzeba – w takim razie niech pan raczej działa wedle prawa i bez wątpienia wasza ekscelencja uzyska całkowitą satysfakcję.
- Tak sądzisz? No, uważaj – polegam na twojej gorliwości, a wdzięczności mojej możesz być pewien.

Szabaszkin skłonił się prawie do ziemi, wyszedł i tego samego dnia zaczął zabiegać około uknutego podstępu. Dzięki jego zręczności już po dwóch tygodniach Dubrowski otrzymał z miasta wezwanie, by natychmiast dostarczył koniecznych wyjaśnień co do swoich praw do wioski Kistieniewki.

Andrzej Gawryłowicz, zdumiony urzędowym zapytaniem, tego samego dnia napisał w odpowiedzi dość szorstkie pismo, w którym oznajmiał, że wioskę Kistieniewkę otrzymał po śmierci swego świętej pamięci ojca, że posiada ją na podstawie sukcesji, że Trojekurow nie ma z tym nic wspólnego i że wszelkie postronne zakusy na jego własność są niczym innym jak matactwem i podstępem.

Pismo owo wywarło na asesorze Szabaszkinie całkiem przyjemne wrażenie. Szabaszkin doszedł do wniosku, po pierwsze, że Dubrowski słabo się orientuje w prowadzeniu spraw, a po drugie, że człowiek tak nieopanowany i nieostrożny łatwo da się zapędzić w najmniej pomyślną dla siebie sytuację.

Andrzej Gawryłowicz, rozpatrzywszy powściągliwe pytania asesora, stwierdził, że musi odpowiedzieć bardziej rzeczowo, napisał dość sensowne pismo, lecz po pewnym czasie i ono okazało się niedostateczne.

Sprawa się przeciągała. Przekonany o swej słuszności, Andrzej Gawryłowicz nie bardzo się o nią niepokoił, nie miał ani ochoty, ani możliwości, by wyrzucać pieniądze i choć zawsze

pierwszy pokpiwał ze sprzedajnego sumienia gryzipiórków, to jednak myśl, że może stać się ofiarą szalbierstwa, nie przychodziła mu jakoś do głowy. Również i Trojekurow niezbyt troszczył się o wygranę rozpoczętej sprawy – Szabaszkina za niego czynił starania, w jego imieniu zabiegał wpływając na sędziów groźbą i przekupstwem i na wszelkie możliwe sposoby komentując przepisy prawne. Tak czy inaczej dziewiątego lutego 18.. roku Dubrowski za pośrednictwem policji miejskiej otrzymał wezwanie do stawienia się w *** - skim sądzie ziemskim celem wysłuchania orzeczenia wyżej wymienionego sądu w sprawie spornego majątku pomiędzy nim, porucznikiem Dubrowskim, a generałem Trojekurowem, oraz celem wyrażenia swojej zgody albo sprzeciwu. Tegoż samego dnia Dubrowski wyruszył do miasta; w drodze wyprzedził go Trojekurow. Dumnie spojrzeli na siebie i Dubrowski zauważył na twarzy przeciwnika złośliwy uśmiech.

ROZDZIAŁ DRUGI

Po przybyciu do miasta Andrzej Gawryłowicz zatrzymał się u znajomego kupca, przenocował u niego i nazajutrz rano zjawił się w kancelarii sądu powiatowego. Nikt tu nie zwrócił na niego uwagi. Ale kiedy w ślad za nim przybył również Kiryła Pietrowicz, pisarze zerwali się ze swych miejsc i założyli pióra za uszy. Ławnicy powitali go z wyrazami głębokiej uniżoności, przysunęli mu fotel, wyrażając w ten sposób szacunek dla jego godności, wieku i okazałej postawy; Kiryła Pietrowicz usiadł tuż przy otwartych drzwiach – Andrzej Gawryłowicz stanął oparłszy się o ścianę. Zapanowała głęboka cisza i sekretarz dźwięcznym głosem zaczął czytać orzeczenie sądu.

Zamieszczamy je w całości sądząc, że każdy z przyjemnością zechce poznać jeden ze sposobów, w jaki na Rusi można stracić majątek, do posiadania którego ma się bezsporne prawo.

„Dnia * lutego 18.. roku sąd powiatowy w K** rozpatrzył sprawę nieprawnego posiadania przez porucznika gwardii, Andrzeja, syna Gawryły, Dubrowskiego majątku należącego do generała en chef Kiryły, syna Piotra, Trojekurowa, który to majątek, położony w w ***-skiej guberni, zawiera wioskę Kistieniewkę wraz z *** poddanymi płci męskiej oraz *** dziesięcin ziemi łącznie z łakami i użytkami. Ze sprawy powyższej wynika, iż: wyżej wymieniony generał en chef Trojekurow dnia 9 czerwca 18.. roku wniósł do tutejszego sądu podanie, w którym oświadcza, że zmarły jego ojciec, asesor kolegiálny i kawaler orderów, Piotr, syn Jefima, Trojekurow w dniu 14 sierpnia 17.. roku, pełniąc w owym czasie funkcję prowincjonalnego sekretarza zarządu ***-skiego namiestnictwa, kupił od wywodzącego się ze szlachty kancelisty Fadiejy, syna Jegora, Spicyna znajdujący się w ***-skim okręgu majątek, który się składał ze wspomnianej powyżej wioski Kistieniewki, nazywanej podówczas w rejestrach ziemskich osadą Kistieniewską, posiadającą ogółem wedle czwartego spisu poddanych *** dusz płci męskiej, z całą ich chłopską majątnością, z sadybą, ziemią orną i ugorami, z lasami, łęgami, z rybołówstwem na rzeczce zwanej Kistieniewką, jak również ze wszystkimi przynależnymi do rzeczzonego majątku służebnościami oraz z pańskim drewnianym dworem; słowem, wszystko bez reszty, co po ojcu swym, wywodzącym się ze

szlachty policjancie powiatowym Jegorze, synu Terentija, Spicynie w dziedzictwie otrzymał i we władaniu posiadał, nie zatrzymując z poddanych ani jednej duszy, a z ziemi ani jednej piędzi, za cenę 2500 rubli, na co akt kupna tego samego dnia w oddziale w ***-skiego sądu sporządzony został, a gdy ojciec jego 26 tegoż samego miesiąca sierpnia przez sąd ziemski w K** wprowadzony został w posiadanie, uczyniony został odpowiedni zapis w księgach. – Kiedy zaś dnia 6 września 17.. roku ojciec jego z woli boskiej zmarł, powód generał en chef Trojekurow od 17.. roku pełnił służbę wojskową i przeważnie bywał na wyprawach wojennych poza granicami kraju, dlatego też nie mógł być powiadomiony zarówno o śmierci ojca, jak i o pozostawionym przez niego majątku. Obecnie, przeniesiony w stan spoczynku, wróciwszy do majątności ojca swego, składających się z wiosek ** i ** w powiatach K**, P** i R** i w*** -skiej guberni, a zawierających w poszczególnych wioskach w sumie do 300 dusz poddanych, stwierdził, że spośród liczby wyżej wymienionych posiadłości wyżej wymienionymi ***-oma duszami poddanych (z których to wedle ostatniego spisu poddanych w wiosce powyżej figuruje w sumie*** dusz poddanych) wraz z gruntem i ze wszystkimi służebnościami włada bez żadnego tytułu własności wyżej wymieniony porucznik gwardii Andrzej Dubrowski i dlatego przedstawiając przy niniejszym podaniu oryginał aktu kupna, wystawiony ojcu jego przez sprzedawcę Spicyna, prosi o odebranie wyżej wymienionego majątku nieprawnemu posiadaczowi Dubrowskiemu, o przekazanie go wedle przynależności w całkowite jego, Trojekurowa, władanie, a jednocześnie wobec nieprawnego przywłaszczenia rzeczonoego majątku, z którego czerpał dochody, po ich należyтым ustaleniu, o przysądzenie od wymienionego Dubrowskiego należnego wedle prawa odszkodowania i o zaspokojenie nim wyżej wymienionego Trojekurowa.

Sąd ziemski, stosownie do niniejszej prośby, dokonawszy zbadania dowodów, stwierdził, że wymieniony obecny posiadacz spornego majątku porucznik gwardii Dubrowski złożył na miejscu asesorowi szlacheckiemu wyjaśnienie, iż posiadany obecnie przez niego majątek, składający się z wyżej opisanej wioski Kistieniewki wraz z *** poddanymi, z gruntami i użytkami otrzymał tytułem spadku po śmierci swojego ojca, podporucznika artylerii, Gawryły, syna Jewgrafa, Dubrowskiego, który nabył go od ojca obecnego powoda, Trojekurowa, sprawującego w owym czasie urząd sekretarza prowincjonalnego, a następnie asesora kolegiálnego, na podstawie wydanej radcy tytułarnemu Grigorijowi, synowa Wasilija Sobolewowi przez tegoż Trojekurowa w dniu 30 sierpnia 17.., a zatwierdzonej w ***-skim sądzie powiatowym plenipotencji, wedle której winien był być na ów majątek wystawiony ojcu jego akt kupna, zważywszy, że rzeczony akt opiewa, iż wymieniony Trojekurow cały majątek nabyty od kancelisty Spicyna, a mianowicie *** dusz poddanych wraz z ziemią,

sprzedał ojcu Dubrowskiego i należną, wedle ugody zapłatę 3.200 rubli w całości od niego otrzymał i prosił rzeczonoego pełnomocnika Sobolowa o wydanie ojcu Dubrowskiego urzędowego tytułu własności. A tymczasem ojciec jego, stosownie do tejże plenipotencji, wobec zapłacenia całej sumy winien wejść w posiadanie nabytego majątku i rozporządzać nim aż do sporządzenia omawianego tytułu własności jako prawowity posiadacz i ani sprzedający majątek Trojekurow, ani też nikt inny w posiadanie majątku ma nie występować.

Kiedy jednakże i w jakim urzędzie plenipotent Sobolów przekazał taki akt kupna ojcu jego – pozwanemu Andrzejowi Dubrowskiemu nie jest wiadome. W tym czasie bowiem był małoletnim, a po śmierci ojca swego, rzeczonoego aktu kupna odnaleźć nie mógł i uważa, że akt ten prawdopodobnie spłonął wraz z innymi dokumentami podczas pożaru, jaki się przydarzył w roku 17.. w ich domu, o czym wiedzą mieszkańcy tej osady. O tym zaś, że majątek – od dnia sprzedaży przez Trojekurowa, względnie od wydania przez niego pełnomocnictwa Sobolewowi, to znaczy od 17.. roku, a po śmierci ojca jego od roku 17.. aż po dziś dzień był w bezspornym posiadaniu rodziny Dubrowskich, świadczą okoliczni mieszkańcy – którzy, w liczbie 52 osób, badani zeznali pod przysięgą, że istotnie, jak tylko sięga ich pamięć, wymieniony sporny majątek był w posiadaniu wyżej wspomnianych Dubrowskich od 70 lat wstecz bez jakiegokolwiek z czyjejkolwiek strony sporu, ale na podstawie jakiego aktu czy tytułu własności wiadome im nie jest. Natomiast tego, czy wymieniony w niniejszej sprawie poprzedni nabywca rzeczonoego majątku, były sekretarz prowincjonalny, Piotr Trojekurow – majątek ów posiadał, nie pamiętają. Co się tyczy domu Dubrowskich, to dom ten około 30 lat temu w wyniku powstałego nocą w majątku pożaru spłonął, przy czym osoby niezainteresowane dowiodły, iż powyżej wymieniony sporny majątek może przynosić licząc przeciętnie od owego czasu, nie mniej jak 2.000 rubli dochodu rocznie.

Wbrew tym wywodom generał en chef Kiryła, syn Piotra, Trojekurow 3 stycznia roku bieżącego zwrócił się do tutejszego sądu z podaniem, z którego wynika, że aczkolwiek wyżej wspomniany porucznik gwardii Andrzej Dubrowski w trakcie przewodu załączył do niniejszej sprawy wydaną przez zmarłego jego ojca Gawryłę Dubrowskiego radcy tytularnemu Sobolewowi plenipotencję na sprzedany mu majątek, to jednak dowodów na to, iż nie tylko stosownie do plenipotencji tej dokonany został akt kupna, lecz nawet na to, że dopuszcza ona dokonanie takiego aktu stosownie do brzmienia generalnego regulaminu rozdz. 19 i ukazu z dnia 29 listopada 1752 roku nie przedstawił. Stąd wniosek, iż sama plenipotencja obecnie, wobec śmierci mocodawcy, ojca Dubrowskiego, stosownie do ukazu z.. maja 1818 roku, wygasła całkowicie, a ponadto istnieje nakaz oddawania spornych

majątków w posiadanie – tych, na które istnieją akty kupna – stosownie do aktów, majątki zaś bez aktów kupna – wedle wyników dochodzenia. Na rzeczony majątek, który należał do jego ojca, Trojekurow przedstawił jako dowód akt kupna, z którego wynika, na podstawie wyżej wymienionych przepisów prawnych, że należy majątek ów odebrać nieprawemu posiadaczowi Dubrowskiemu i oddać go, stosownie do prawa dziedziczenia, Trojekurowowi. Ponieważ wymienieni obywatele ziemscy, władając nie należącym do nich majątkiem bez żadnych podstaw prawnych, korzystali z majątku tego niesłusznie, jak również korzystali z nienależnych im dochodów, to po wyliczeniu wysokości tych dochodów, należy ściągnąć je od Dubrowskiego i zaspokoić nimi powoda Trojekurowa.

Po rozpoznaniu niniejszej sprawy i sporządzeniu wypisów z niej i z odnośnych ustaw, sąd powiatowy orzeka, co następuje:

Jak widać z niniejszej sprawy, generał en chef Kiriła, syn Piotra, Trojekurow na wymieniony, znajdujący się obecnie w posiadaniu porucznika gwardii Andrzeja, syna Gawryły, Dubrowskiego sporny majątek, składający się z wioski Kistieniewki, posiadający ogółem wedle ostatniego spisu poddanych *** dusz płci męskiej wraz z ziemią orną i użytkami, przedstawił akt sprzedaży, wystawiony w 17.. roku zmarłemu jego ojcu, sekretarzowi prowincjonalnemu, pełniącemu później urząd asesora kolegijskiego przez wywodzącego się ze szlachty kancelistę Fadieja Spicyna, że ponadto nabywca ów, jak to wynika z dokonanego na akcie kupna zapisu, został w tymże roku wprowadzony w posiadanie przez ***-ski sąd ziemski, na który to majątek już on sam uzyskał odpowiedni zapis. I choć wbrew temu ze swej strony porucznik gwardii Andrzej Dubrowski przedstawił plenipotencję, wydaną przez tegoż zmarłego nabywcę Trojekurowa radcy tytularnemu Sobolewowi w celu dokonania aktu kupna sprzedaży na imię ojca Dubrowskiego – to jednak na podstawie tego rodzaju umów nie tylko zatwierdzanie aktów kupna majątków nieruchomości, lecz nawet chwilowe ich posiadanie jest stosownie do ukazu... wzbronione, zwłaszcza że sama plenipotencja wraz ze śmiercią jej wystawcy całkowicie wygasa. – Na to zaś, że istotnie na podstawie owej plenipotencji gdzieś i kiedyś dokonany został akt kupna wymienionego spornego majątku, Dubrowski ze swej strony żadnych wyraźnych dowodów do sprawy od początku postępowania sądowego, to znaczy od 18.. aż po dzień dzisiejszy nie przedstawił. W związku z powyższym sąd tutejszy postanawia tytuł własności na wymieniony majątek, posiadający poddanych wraz z ziemią i użytkami, w jakimkolwiek obecnie stanie się znajduje, stosownie do przedstawionego nań aktu kupna zatwierdzić na rzecz generała en chef Trojekurowa; polecić sądowi ziemskiemu w K** pozbawienie uprawnień co do rozporządzania rzeczonym majątkiem porucznika gwardii Dubrowskiego oraz przepisowe

wprowadzenie w posiadanie pana Trojekurowa, jak również sporządzenie na tym majątku zapisu jako na otrzymanym w drodze sukcesji. – A chociaż ponadto generał en chef Trojekurow prosi o zasądzenie od porucznika gwardii Andrzeja Dubrowskiego dochodów z tytułu nieprawego korzystania z dziedzicznego jego majątku, to jednak, ponieważ majątek ów stosownie do zeznań starych mieszkańców okolicznych znajdował się przez kilka lat w bezspornym posiadaniu panów Dubrowskich, a ze sprawy niniejszej nie wynika, żeby pan Trojekurow do tej pory składał jakiegokolwiek podanie w związku z tego rodzaju nieprawym posiadaniem owego majątku przez rodzinę Dubrowskich, a przy tym ponieważ przepis przewiduje, że jeżeli ktoś cudzą ziemię obsieje lub posiadłość ogrodzi i przeciw niemu złoży kto skargę o zagarnięcie wbrew prawu, a zostanie udowodnione, że tak było, to podówczas prawemu posiadaczowi oddać należy tę ziemię wraz z zasiewami, zagrodami i budynkami; na tej podstawie sąd postanawia powództwo generała en chef Trojekurowa przeciw porucznikowi gwardii Dubrowskiemu oddalić, albowiem należący doń majątek wraca w jego posiadanie bez jakiegokolwiek uszczuplenia. Jeżeli zaś przy wprowadzeniu w posiadanie okażą się jakoweś braki, to pozostawić generałowi en chef Trojekurowowi, o ile będzie miał bezsporne i jasne dowody co do swoich pretensji, możliwość zwrócenia się z oddzielnym powództwem, gdzie należy. – O powyższym orzeczeniu, jak również o uzasadnieniach prawnych i trybie apelacji powiadomić zarówno powoda jak i pozwanego, których wezwać przez policję do sadu tutejszego celem odczytania niniejszego wyroku i podpisania przez nich swojej zgody lub też swego sprzeciwu.

Który to wyrok podpisali wszyscy członkowie tutejszego sądu”.

Sekretarz zamilkł, przewodniczący wstał i z niskim ukłonem zwrócił się do Trojekurowa prosząc o podpisanie przedstawionego dokumentu, a Trojekurow z triumfem wziął od niego pióro, podpisując pod wyrokiem sądu całkowitą swoją zgodę.

Z kolei winien był podpisać Dubrowski. Sekretarz podał mu dokument. Ale Dubrowski stał bez ruchu, pochyliwszy głowę.

Sekretarz powtórzył wezwanie, aby podpisał swoją pełną i całkowitą zgodę albo też wyraźny sprzeciw, jeśli, wbrew mniemaniu sądu, sumienie mu dyktuje, że sprawa jego jest słuszna i jeśli ma zamiar w określonym przez prawo czasie apelować, gdzie należy.

Dubrowski milczał... Naraz uniósł głowę, oczy mu zabłyśły, tupnął nogą, odepchnął sekretarza tak silnie, że tamten upadł, chwycił kałamarz, cisnął nim w asesora. Obecnych ogarnęło przerażenie. – Jak to! Nie czcić cerkwi bożej! Precz chamskie plemię! – a później zwracając się do Kiryły Pietrowicza: – Słychana to rzecz, wasza ekscelencjo – mówił dalej – psiarze wprowadzają psy do cerkwi bożej! Psy biegają po cerkwi. Już ja was nauczę. – Na

hałas zbiegli się woźni i z trudem go uspokoili. Wyprowadzono go i usadowiono w saniach. Trojekurow, odprowadzany przez cały sąd, wyszedł w ślad za nim. Niespodziewane szaleństwo Dubrowskiego mocno podziało na jego wyobraźnię i zatrulo mu radość triumfu. Sędziów, którzy spodziewali się dowodów wdzięczności, nie zaszczylił ani jednym uprzejmym słowem. Tego samego dnia wyruszył do Pokrowskoje. Tymczasem Dubrowski leżał chory; lekarz powiatowy, na szczęście nie całkiem nieuk, zdążył już puścić mu krew, przystawić pijawki i kantarydy – pod wieczór chory poczuł się lepiej i odzyskał przytomność. Nazajutrz przewieziono go do Kistieniewki, która już prawnie do niego nie należała.

ROZDZIAŁ TRZECI

Minął pewien czas, a biedny Dubrowski wciąż jeszcze szwankował na zdrowiu. Co prawda ataki obłądu już się nie powtarzały, lecz chory wyraźnie tracił siły. Zapominał o swoich poprzednich zajęciach, rzadko wychodził z pokoju i wpadał w zamyślenie na całe dni. Jegorowna, dobra staruszka, która niegdyś niańczyła jego syna, teraz stała się również i jego niańką. Pielęgnowała go jak dziecko, przypominała mu, kiedy ma jeść i spać, karmiła, układała do snu. Andrzej Gawryłowicz pokornie jej się podporządkował i prócz niej z nikim się nie widywał. Nie był w stanie myśleć o interesach ani też zajmować się gospodarstwem. Jegorowna uznała za konieczne powiadomić o wszystkim młodego Dubrowskiego, który służył w jednym z gwardyjskich pułków piechoty i przebywał w tym czasie w Petersburgu. Tak więc wydarłszy kartę z książki rozchodowej, podyktowała list kucharzowi Charitonowi, który był jedynym piśmiennym człowiekiem w Kistieniewce, i tego samego dnia odesłała list ten do miasta na pocztę.

Ale czas już zaznajomić czytelnika z właściwym bohaterem naszej powieści. Władimir Dubrowski wychowywał się w korpusie kadetów i opuścił go jako podchorąży gwardii; ojciec nie szczędził mu środków na przyzwoite utrzymanie i młody człowiek otrzymywał z domu więcej niż mógł się spodziewać. Ambitny i rozrzutny z natury, pozwalał sobie na przeróżne zachcianki. Grał w karty i robił długi nie troszcząc się o przyszłość, licząc jedynie wcześniej czy później na bogaty ożenek – marzenie ubogiej młodzieży.

Pewnego wieczoru, gdy kilku oficerów siedziało w jego mieszkaniu rozpierając się na kanapach i paląc z jego bursztynowych cybuchów, kamerdyner Grisza podał mu list, którego adres i pieczęć mocno zdumiały młodzieńca. Pośpiesznie go rozpieczętował i przeczytał następujące słowa:

„Panie nasz, Władimirze Andrejewiczu – ja, twoja stara niańka, umyśliłam sobie donieść ci o zdrowiu ojczulka. Jest bardzo słaby, czasami mówi od rzeczy i cały dzień siedzi jak głupie dziecko, a śmierć i żywot ludzki w boskim ręku. Przyjeżdżaj do nas, sokoliku mój jasny, wyślemy po ciebie konie na Piesocznoje. Powiadają, że

ma zjechać do nas sąd ziemski, by oddać nas pod rządy Kiryły Pietrowicza Trojekurowa, bośmy ponoć jego, a myśmy od dawna pańscy – i od urodzenia o tym nie słyszeliśmy. – Mieszkając w Petersburgu, mógłbyś powiedzieć o tym ojczulkowi-carowi, a on by już nie dał nas skrzywdzić.

Pozostaję twoją wierną poddaną, niańka

Orina Jegorowna Buzyrewa.

Posyłam moje macierzyńskie błogosławieństwo Griszy, czy dobrze ci służy? – U nas deszcze padają już drugi tydzień i pastuch Rodła zmarł na świętego Mikołaja.”

Władimir Dubrowski z niezwykłym wzruszeniem przeczytał kilka razy to dość bezładne pismo. Matkę stracił we wczesnym dzieciństwie; kiedy go przywieziono w ósmym roku życia do Petersburga, ojca prawie nie znał, a jednocześnie był doń romantycznie przywiązany i tym bardziej lubił życie rodzinne, im mniej zdążył nasycić się jego cichymi urokami.

Myśl, że może stracić ojca, okrutnie szarpała mu serce. Przerzął go stan nieszczęsnego chorego, domyślał się go z listu swojej niańki. Wyobrażał sobie ojca, któremu w głuchej wsi pod opieką głupiej staruszki i służby dworskiej groziły jakieś nieszczęścia i który gasł bez pomocy, szarpany mękami ciała i duszy. Władimir czynił sobie wyrzuty, że w sposób zbrodniczy zaniedbywał ojca. Dawno już nie otrzymywał od ojca żadnych wiadomości, a jednak nie pomyślał o tym, by dowiedzieć się, co się z nim dzieje, sądząc, iż zajmuje się sprawami gospodarstwa lub też jest w rozjazdach.

Postanowił pojechać do niego, a nawet podać się do dymisji, gdyby choroba ojca wymagała jego obecności w domu. Koledzy spostrzegłszy jego niepokój odeszli, Władimir został sam, napisał podanie o urlop, zapalił fajkę i pograżył się w głębokich rozmyślaniach.

Tego samego dnia rozpoczął starania o urlop i po dwóch dniach wyruszył w drogę pocztowymi końmi wraz z wiernym Griszą.

Władimir Andrejewicz zbliżał się do stacji, od której miał zjechać na Kistieniewkę. Serce jego pełne było smutnych przeczuć, bał się, że nie zastanie już ojca przy życiu, wyobrażał sobie niewesoły tryb życia, jaki go oczekuje na wsi: zapadły kąt, odludzie, ubóstwa i starania w sprawach, na których się absolutnie nie znał. Zajechawszy na stację, wszedł do mieszkania poczmistrza i zapytał, czy są wolne konie. Poczmistrz wskazał mu, w jakim kierunku ma jechać i zawiadomił, że konie przysłane z Kistieniewki czekają nań już czwarty dzień. Wkrótce zjawił się stary stangret Antoni, który niegdyś oprowadzał go po stajni i doglądał jego małego konika. Antoni na widok Władimira Andrejewicza wzruszył się do łez, pokłonił

mu się do ziemi, powiedział, że stary pan jeszcze żyje i pobiegł zaprzęgać konie. Władimir Andrejewicz nie przystał na zaofiarowane przez poczmistrza śniadanie i pośpieszył w dalszą drogę. Antoni wiozł go bocznymi drogami i Władimir zaczął z nim rozmowę.

– Powiedz mi z łaski swojej, Antoni, jaką ma sprawę ojciec mój z Trojekurowem.

– A Bóg ich tam wie, Władimirze Andrejewiczu... Pan nasz, jak mówią, pokłócił się o coś z Kiryłą Pietrowiczem, no i ten podał go do sądu – choć tak prawdę mówiąc, sam on sobie jest sędzią. Nie nasza chłopska sprawa mieszać się w pańskie zamiary i, Bóg mi świadkiem, na próżno ojczulek pański poszedł przeciwko Kiryle Pietrowiczowi, trudno zamierzać się motyką na słońce.

– To widać ten Kiryła Pietrowicz robi u was, co mu się podoba?

– A wiadomo, wielmożny panie – asesora, powiadają, ma sobie za nic, sprawnik jest u niego na posyłkach, panowie zjeżdżają się do niego z pokłonami, nie trzeba, jak to mówią, świni do koryta prosić, sama sobie drogę znajdzie.

– Czy to prawda, że chce odebrać nam majątek?

– Oh, wielmożny panie, myśmy też o tym słyszeli. W tych dniach pokrowski zakrystian powiedział na chrzcinach do naszego sołtysa: – Dostycie się na hulali, już was weźmie w ręce Kiryła Pietrowicz. – Kowal Mikita odpowiedział mu wtedy: – Dałbyś spokój, Sawielicz, nie odbieraj spokoju gościom. – Kiryła Pietrowicz jest sam dla siebie, a Andrzej Gawryłowicz sam dla siebie, a my wszyscy jesteśmy boscy i carscy, ale trudno cudze usta zamknąć na kłódkę.

– A więc nie chcecie przejść w poddaństwo do Trojekurowa?

– W poddaństwo do Kiryły Pietrowicza! Boże zachowaj i wybaw – u niego tam i swoi będę cierpią, a jak dostaną mu się obcy, to z nich nie tylko skórę, ale i mięso zedrze. – Nie, niech Bóg da Andrzejowi Gawryłowiczowi długie życie, a gdyby go powołał do swojej chwały, to nie chcemy nikogo prócz ciebie, nasz dobrodzieju. Nie oddawaj ty nas, a my już ci pomożemy.

Z tymi słowy Antoni machnął biczem, potrząsnął lejcami i konie ruszyły ostrym klusem.

Wzruszony wiernością starego woźnicy, Dubrowski zamilkł – i zatonął w myślach. Minęła przeszło godzina, nagle Grisza obudził go okrzykiem: *Oto Pokrowskoje?* Dubrowski podniósł głowę. Jechał brzegiem szerokiego jeziora, z którego wypływała rzeczka i wiała się w dali pomiędzy wzgórzami – na jednym z nich, ponad gęstą zieleń gaju wznosił się zielony dach i fasada wielkiego murowanego domu – na drugim cerkiew z pięcioma głowicami i starodawna dzwonnica... Wokoło rozrzucone były wiejskie chaty z sadami i żurawiami studziennymi. Dubrowski poznał okolicę – przypomniał sobie, że na tym wzgórzu bawił się z małą Maszą

Trojekurowa, która była od niego o dwa lata młodsza i już wtedy zapowiadała się na piękność. Chciał zapytać o nią Antoniego, ale pohamowała go jakaś nieśmiałość.

Gdy zbliżyli się do dworu, ujrzał białą suknię, która mignęła pomiędzy drzewami ogrodu. W tej samej chwili Antoni zdzielił konie batem i ulegając ogólnej, zarówno u wiejskich stangretów jak i u wszystkich woźniców z miasta, ambicji, popędził ze wszystkich sił przez most i mimo wsi. Minawszy wieś wyjechali na wzgórze i Władimir ujrzał brzozowy gaj, a w lewo, na otwartej przestrzeni, szary domek z czerwoną dachówką. Serce zaczęło mu bić mocno. Miał przed sobą Kistieniewkę i ubogi dom swego ojca.

Po dziesięciu minutach Władimir zajechał przed ganek. Rozglądał się z nieopisanym wzruszeniem. Dwanaście lat nie widział swych stron rodzinnych Brzózki, które za jego czasów właśnie posadzono pod płotem, stały się wysokimi, rozłożystymi drzewami. Podwórze, niegdyś ozdobione trzema prawidłowymi klombami, między którymi biegła starannie wymiatana, szeroka droga, zmieniło się teraz na niekoszoną łąkę, na której pasł się spętany koń. Zaszczekały psy, ale poznawszy Antoniego zamilkły i zaczęły machać kosmatymi ogonami. Służba dworska wysypała się z czworaków, otoczyła młodego pana, głośno wyrażając swą radość. Z trudem mógł się przedrzeć przez ich gorliwą gromadę i wbiec na pochylony ze starości ganek. W sieni spotkała go Jegorowna i z płaczem uścisnęła mu dłoń.

– Dzień dobry, dzień dobry, nianiu – powtarzał przyciskając do serca dobrą staruszkę – jak ojciec? gdzie jest? jak się czuje?

W tej samej chwili do salonu wszedł ledwo powłócząc nogami wysoki, blady i chudy starzec w szlafroku i szlafmicy.

– Witaj, Wołodka! – powiedział słabym głosem i Władimir gorąco uścisnął ojca.

Radość zbyt mocno podziałała na chorego, siły go opuściły, nogi ugięły mu się w kolanach i byłby upadł niechybnie, gdyby go syn nie podtrzymał.

– Po co pan wstał z łóżka – rzekła Jegorowna – ledwo się na nogach trzyma, a chce iść do ludzi.

Starca zaniecono do sypialni. Usiłował jeszcze rozmawiać z synem, ale myśli plątały mu się w głowie, a słowa nie wiązały się ze sobą. Zamilkł i zapadł w senność. Władimira przeraził stan ojca. Zatrzymał się w sypialni i prosił, by go pozostawiono z nim sam na sam. Domownicy usłuchali, a wtedy wszyscy zwrócili się do Griszy, zaprowadzili go do izby czeladnej, gdzie ugoszczono go prawdziwie po wiejsku okazując najwyższą życzliwość i zameczając pytaniami i powitaniem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gdzie był stół z jadłem,
tam trumna stoi.

W kilka dni po przyjeździe młody Dubrowski chciał zająć się sprawami ojca, ale ten nie był w stanie dać mu odpowiednich wyjaśnień – Andrzej Gawryłowicz nie miał plenipotenty. Porządkując jego papiery Władimir znalazł jedynie pierwszy list asesora i brulion odpowiedzi, nie mógł jednak wyrobić sobie z nich jasnego pojęcia o procesie i licząc na słuszność samej sprawy postanowił czekać na dalsze wypadki.

Tymczasem stan zdrowia Andrzeja Gawryłowicza pogarszał się z godziny na godzinę. Władimir przewidywał rychłą katastrofę i nie opuszczał starca, który całkowicie zdziecinniał.

Tymczasem minął określony termin i apelacja nie została złożona. Kistieniewka należała do Trojekurowa. Szabaszkin zjawił się u niego z pokłonami, gratulacjami i z prośbą o wyznaczenie terminu, kiedy jego ekscelencja zechce wejść w posiadanie nowonabytego majątku – sam, czy też raczy kogoś do tego upoważnić. Kiryła Pietrowicz zmieszał się. Z natury nie był chciwy, pragnienie zemsty popchnęło go zbyt daleko, gryzło go sumienie. Wiedział, w jakim stanie znajduje się jego przeciwnik, stary towarzysz z lat młodości – i w sercu nie odczuwał zadowolenia. Groźnie spojrzał na Szabaszkinę, szukając do czego by się przyczepić, aby go zwymyślać – ale nie znalazłszy dostatecznego pretekstu, powiedział ze złością:

– Idź precz, nie chcę z tobą rozmawiać.

Szabaszkin widząc, że generał jest nie w humorze, uklonił się i spiesznie się oddalił, a Kiryła Pietrowicz, gdy został sam, zaczął przechadzać się tam i z powrotem po pokoju pogwizdując: *Grom zwycięstwa się rozlega*, co zawsze oznaczało u niego niezwykle wzburzenie umysłu.

Wreszcie kazał zaprząć do wolanu, ubrał się ciepło (było to już pod koniec września) i pojechał sam, bez woźnicy.

Wkrótce ujrzał domek Andrzeja Gawryłowicza i w duszy jego zbudziły się sprzeczne uczucia. Zaspokojona zemsta i żądza władzy przygłuszały co prawda uczucia bardziej szlachetne, lecz wreszcie te ostatnie zatriumfowały. – Postanowił pogodzić się ze swym starym sąsiadem i zwracając mu majątek zatrzeć nawet ślady kłótni. Gdy powziął ten błogi zamiar, zrobiło mu się lżej na sercu; Kiryła Pietrowicz puścił się kłusem do dworu sąsiada i zajechał wprost na podwórze.

Chory siedział właśnie w swej sypialni przy oknie. Poznał Kiryłę Pietrowicza i na twarzy jego odmalowało się okropne wzburzenie – zamiast zwykłej bladej twarzy wystąpił purpurowy rumieniec, oczy mu zabłyśły, wydawał jakieś nieartykułowane dźwięki. Władimir, który siedział obok, zajęty księgami gospodarskimi, uniósł głowę i przeraził się jego stanem. Chory z lękiem i gniewem wskazywał palcem na dwór. Pospiesznie zbierał poły swego szlafroka chcąc wstać z fotela, uniósł się nieco... i nagle upadł. – Syn skoczył ku niemu, starzec leżał nieprzytomny, bez oddechu – tknięty paraliżem.

– Prędzej, prędzej do miasta po lekarza! – wołał Władimir.

– Kiryła Pietrowicz pyta o pana – powiedział wchodząc służący.

Władimir rzucił na niego straszne spojrzenie.

– Powiedz Kiryła Pietrowiczowi, aby jak najprędzej się stąd wyniósł, bo go każę wypędzić – idź.

Służący z radością pobiegł wypełnić rozkaz swego pana. Jegorowna klasnęła w ręce.

– Dobrodzieju nasz – zawołała piskliwym głosem – doprowadzisz się do zguby! Kiryła Pietrowicz nas pożre!

– Milcz, niańko – powiedział ze złością Władimir. – Poślij natychmiast Antoniego do miasta po lekarza.

Jegorowna wyszła. W przedpokoju nie było nikogo – cała służba wybiegła na dwór, by popatrzeć na Kiryłę Pietrowicza. Jegorowna wyszła na ganek i usłyszała odpowiedź, którą dawał służący w imieniu młodego pana. Kiryła Pietrowicz wysłuchał tej odpowiedzi siedząc w wolancie – twarz jego stała się mroczniejsza od nocy. Uśmiechnął się pogardliwie, groźnie spojrzał na czeladź i ruszył stępą wokoło podwórza. Spojrzał w okno, gdzie przed chwilą siedział Andrzej Gawryłowicz, lecz tam już go nie było. Niańka stała na ganku zapomniawszy o rozkazie pana.

Służba dworska hałaśliwie rozprawiała o zajściu. Naraz zjawił się pomiędzy nimi Władimir i powiedział urywanym głosem:

– Nie trzeba lekarza, ojciec umarł.

Powstało zamieszanie. Wszyscy rzucili się do pokoju starego pana. Leżał w fotelu, na który przeniósł go Władimir; prawa jego ręka zwisała do podłogi, głowa opuszczona była na pierś – to ciało, jeszcze nieostygłe, lecz już zniekształcone przez zgon, nie dawało już oznak życia. Jegorowna zaszlochała głośno. Służący otoczyli pozostawionego ich opiece trupa, umyli go, ubrali w uszyty jeszcze w 1797 roku mundur i położyli na tym samym stole, przy którym przez tyle lat usługiwali swemu panu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pogrzeb odbył się na trzeci dzień. Zwłoki biednego starca leżały na stole okryte całunem i otoczone świecami. Pokój stołowy pełen był służby dworskiej. Szykowano się do wyniesienia trumny. Władimir i trzech służących wzięli ją na ramiona. Pop poszedł przodem. Towarzyszył mu diak śpiewając modlitwy pogrzebowe. Właściciel Kistieniewki po raz ostatni przekroczył próg swego domu. Trumnę ponieśli przez las. Cerkiew znajdowała się za nim. Dzień był jasny i chłodny. Z drzew opadały jesienne liście.

Wychodząc z lasu ujrzeli drewnianą cerkiew kistieniewską i ocieniony starymi lipami cmentarz. Tam spoczywało ciało matki Władimira, tam, obok jej grobu, poprzedniego dnia wykopano świeżą mogiłę.

Cerkiew wypełniali chłopci z Kistieniewki, którzy przyszedli po raz ostatni pokłonić się swemu panu.

Młody Dubrowski stał pod chórem; nie płakał i nie modlił się – lecz twarz jego była straszna. Smutny obrzęd zbliżał się ku końcowi. Władimir podszedł pierwszy, aby pożegnać się z ciałem – za nim cała służba dworska. Przyniesiono wieko i zamknięto trumnę. Baby wyły głośno, chłopci nierzadko ocierali łzy pięścią. Władimir i ci sami trzej służący, odprowadzeni przez całą wieś, ponieśli trumnę na cmentarz. Trumnę opuszczono w wykopany grób, wszyscy obecni rzucili po garści piasku, zasypali jamę, pokłonili się mogile i rozeszli się. Władimir, wyprzedzając wszystkich, szybko się oddalił i skrył się w kistieniewskim lesie.

Jegorowna w imieniu Władimira zaprosiła popa i całą służbę cerkiewną na stypę pogrzebową zawiadamiając, że młody dziedzic nie ma zamiaru wziąć w niej udziału; ojciec Antoni, popadnia Fiedotowna i diaczek ruszyli pieszo do dworu omawiając z Jegorowną cnoty nieboszczyka i rozważając, co prawdopodobnie oczekuje jego dziedzica. (O przyjeździe Trojekurowa i o tym, jak go przyjął Władimir, wiedziała już cała okolica i miejscowi politycy przepowiadali poważne następstwa tych wydarzeń).

– Co będzie, to będzie – rzekła popadła – a szkoda, jeśli Władimir Andrejewicz nie zostanie naszym panem. Co tu dużo mówić, to prawdziwy zuch.

– A któż, jak nie on ma być naszym panem – przerwała Jegorowna – niech się tam Kiryła Pietrowicz gorączkuje, nie na lęklivego trafił, mój sokolik sam da sobie radę, a Bóg da, że Opatrzność go nie porzuci. Bardzo pyszny jest Kiryła Pietrowicz, a jednak podwinął ogon pod siebie, gdy mój Griszka zawołał do niego: „Precz, stary psie! – Fora ze dwora!”

– Ach, Jegorowno!– powiedział diaczek – i jakżeż to Grzegorzowi język się w gębie obrócił. Ja myślę, że prędzej bym się zgodził zaszczekać na biskupa niż krzywo spojrzeć na Kirylę Pietrowicza. Gdy się go widzi, to strach i drzenie zmuszają do padnięcia na twarz, a plecy same się uginają, same się uginają...

– Marność nad marnościami – odezwał się pop. – Kiryle Pietrowiczowi też kiedyś zaśpiewają wieczny odpoczynek, jak dziś Andrzejowi Gawryłowiczowi, tyle tylko, że pogrzeb będzie bogatszy i gości więcej zaproszą – a czy Bogu to nie wszystko jedno?..

– Ach, ojczulku! I myśmy chcieli sprosić całą okolicę, ale Władimir Andrejewicz nie życzył sobie. A przecież wszystkiego mamy dość – jest czym ugościć i przyjąć, jak należy. Przynajmniej, jeśli nie ma kogo innego, to niech już choć was uczęstuje, drodzy nasi goście.

Ta uprzejma obietnica i nadzieja pokosztowania smacznego pieroga przyspieszyły kroki rozmawiających, którzy pomyślnie doszli do pańskiego domu, gdzie stół już był nakryty, a wódka podana.

Tymczasem Władimir zagłębiał się w gęstwinę lasu, starając się zmęczeniem zagłuszyć cierpienia duszy. Szedł bezdrożem – gałęzie raz po raz uderzały go i drapały po twarzy, nogi co chwila grzęzły w błocie, Władimir nie zwracał na nic uwagi. Wreszcie dotarł do małego, otoczonego ze wszystkich stron lasem, parowu. Strumyk w milczeniu wił się wokoło na wpół obnażonych przez jesień drzew. Władimir zatrzymał się, siadł na chłodnej darni i myśli – jedna od drugiej czarniejsza – skłębiły się w jego duszy... Odczuwał mocno swoją samotność. Widział przyszłość okrytą groźnymi chmurami. Waśń z Trojekurowem zapowiadała nowe nieszczęścia. Ubogi jego majątek mógł przejść w obce ręce – a wtedy oczekiwała go nędza. Długo siedział bez ruchu, spoglądając na cichy bieg strumienia, który unosił kilka zwiędłych liści – i wyobraził je sobie jako wierny obraz życia – obraz tak zwykły. Wreszcie zauważył, że się zmierzcha; wstał i zaczął szukać drogi powrotnej, ale jeszcze długo błądził po nieznanym lesie, aż w końcu trafił na ścieżkę, która przywiodła go wprost do bramy jego domu.

Po drodze Dubrowski natknął się na popa wraz z całym orszakiem. Przyszła mu do głowy myśl, że jest to zły prognostyk. Mimo woli zboczył z drogi i ukrył się za drzewami. Nie zauważyli go i przechodząc koło niego gorąco z sobą rozprawiali.

– Oddal się od zła i uczyni dobro – mówił pop do żony – nic tu po nas. Nie twoja rzecz, jak się to wszystko skończy...

Żona coś tam mu odpowiedziała, ale Władimir nie mógł jej dosłyszeć.

Zbliżywszy się ujrzał mnóstwo ludzi na podwórzu przed dworem tłoczyli się chłopcy i służba folwarczna. Już z daleka usłyszał Władimir niezwykły gwar i hałas. Przed wozownią stały dwie bryczki zaprzężone w trójkę koni. Na ganku kilku nieznajomych w mundurach, zdawało się, o czymś rozprawiało.

– Co to ma znaczyć? – zapytał surowo Antoniego, który biegł mu naprzeciw. – Co to za ludzie i czego chcą?

– Ach, dobrodzieju, Władimirze Andrejewiczu! – odpowiedział starzec z trudem łapiąc oddech. – Sąd przyjechał. Oddają nas Trojekurowowi, zabierają nas od ciebie!..

Władimir pochylił głowę. Służba otoczyła swego nieszczęśliwego pana.

– Ojcie ty nasz – wołali całując go po rękach – nie chcemy innego pana prócz ciebie. Daj rozkaz, panie, a z sądem sobie poradzimy. Umrzemy, a nie wydamy... – Władimir patrzył na nich i dziwne przejmowały go uczucia.

– Bądźcie spokojni – powiedział do nich – porozmawiam z urzędnikami.

– Porozmawiaj, dobrodzieju – zawołali do niego z tłumu – i przemów do sumienia tym łotrom przeklętym.

Władimir zbliżył się do urzędników. Szabaszkin stał w czapce na głowie, podparłszy się pod boki, i dumnie spoglądał wokoło siebie... Sprawnik, wysoki i tęgi mężczyzna z czerwoną twarzą i z wąsami, na widok zbliżającego się Dubrowskiego chrząknął i wyrzekł ochryłym głosem:

– A więc powtarzam wam to, co już powiedziałem: z wyroku sądu powiatowego od dziś należycie do Kiryły Pietrowicza Trojekurowa, w imieniu którego występuje tu pan Szabaszkin. – Słuchajcie go we wszystkim, co wam rozkaże, a wy, baby, kochajcie go i szanujcie, bo jest wielkim na was amatorem.

Powiedziawszy ten ordynarny dowcip sprawnik zaczął się głośno śmiać, a Szabaszkin i reszta mu zawtórowali. Władimir zawrzał oburzeniem.

– Zechce mi pan powiedzieć, co to wszystko znaczy – zapytał sprawnika hamując gniew.

– A znaczy to jedynie – odpowiedział dowcipny urzędnik – że przyjechaliśmy wprowadzić w posiadanie Kiryłę Pietrowicza Trojekurowa i prosić *wszystkich postronnych*, by się wynosili póki czas.

– Lecz mógłby pan, mam wrażenie, przedtem zwrócić się do mnie, a potem dopiero do moich chłopów i najpierw zawiadomić właściciela majątku o pozbawieniu go władzy.

– A tyś kto taki? – rzekł Szabaszkina patrząc bezczelnie – były właściciel majątku Andrzej, syn Gawryły, Dubrowski zmarł z woli bożej – pana nie znamy i znać nie chcemy.

– Wasza wielmożność, to nasz młody pan – odezwał się głos z tłumu – Władimir Andrejewicz.

– Kto tam śmiał otworzyć gębę? – rzekł groźnie sprawnik. – Jaki tam znów pan, co za Władimir Andrejewicz? – panem waszym jest Kiryła Pietrowicz Trojekurow – czy słyszycie, głąby?

– Jeszcze by nie – powiedział ten sam głos.

– Ależ to bunt! – zawołał sprawnik – hej, sołtysie, chodź tutaj.

Sołtys wystąpił naprzód.

– Masz mi natychmiast znaleźć tego, co śmiał ze mną, rozmawiać, ja już mu zadam bobu!

Sołtys zwrócił się do tłumu pytając, kto mówił. Wszyscy milczeli; wkrótce w przednich szeregach zaczął narastać gwar i w jednej chwili zamienił się w najokropniejszy wrzask. Sprawnik ściszonej już głosem chciał z nimi pertraktować.

– A co tam będziemy na niego zważać – zawołała służba folwarczna – chłopcy! bić ich! – i tłum ruszył naprzód.

Szabaszkina i reszta urzędników pospiesznie rzucili się do sieni i zamknęli za sobą drzwi.

– Chłopcy, wiążcie ich! – zawołał ten sam głos – i tłum zaczął napierać.

– Stójcie! – krzyknął Dubrowski – durnie! cóż to? gubicie i siebie, i mnie, idźcie do domów i zostawcie mnie w spokoju. Nie obawiajcie się. Car jest miłościwy, będę go prosił, on nas nie skrzywdzi – myśmy wszyscy jego dziećmi – a jakże będzie mógł za nas się wstawić, jeśli się będziecie buntować i rozbijać.

Mowa młodego Dubrowskiego, jego dźwięczny głos i dumna postawa wywarły pożądany wpływ. Tłum ucichł, rozszedł się, podwórze opustoszało; członkowie komisji nie wychodzili z domu. Wreszcie Szabaszkina otworzył ostrożnie drzwi, wyszedł na ganek i kłaniając się uniżenie zaczął dziękować Dubrowskiemu za łaskawą obronę.

Władimir słuchał go z pogardą i nic nie odpowiadał.

– Postanowiliśmy – ciągnął asesor – pozostać tu za pańskim pozwoleniem na noc, bo już ciemno i pańscy chłopcy mogą napaść na nas po drodze. Niech pan uczyni nam tę łaskę i rozkaże posłać choćby trochę siana w bawialni, o świcie stąd wyruszemy.

– Róbcie, jak chcecie – odpowiedział ostro Dubrowski – nie jestem już tu gospodarzem.

Z tymi słowy odszedł do pokoju ojca i zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

„A więc wszystko skończone – rzekł sam do siebie – jeszcze rano miałem własny kąt i kęs chleba. Jutro będę musiał porzucić dom, gdzie się urodziłem i gdzie umarł mój ojciec, i oddać go winowajcy jego śmierci a mojej nędzy.” I oczy Władimira zatrzymały się bez ruchu na portrecie matki. Artysta namalował ją opartą o balustradę, w białej porannej sukni, z różą we włosach. „Portret ten również dostanie się wrogowi mojej rodziny – pomyślał Władimir. – Rzucają go gdzieś do lamusa wraz z połamanymi krzesłami albo powieszają w przedpokoju jako przedmiot dowcipów i uwag psiarzy Trojekurowa, a w jej sypialni, w pokoju... gdzie umarł ojciec, zamieszka jego rządca albo osiedli się jego harem. Nie! nie! Niechże i on nie dostanie tego smutnego domu, z którego mnie wygnano.” Władimir zacisnął zęby – straszne myśli rodziły się w jego głowie. Słyszał głosy urzędników, którzy rządzą się jak u siebie, żądali od służby raz tego, to znów czego innego i w przykry sposób rozpraszali jego smutne rozmyślenia. Wreszcie wszystko ucichło.

Władimir otworzył komody i szuflady i zajął się przeglądaniem papierów zmarłego. Składały się one przeważnie z rachunków gospodarskich i z korespondencji w różnych sprawach. Władimir podarł je bez czytania. Między tymi papierami natrafił na pakiet z napisem: *Listy mojej żony*. Z wielkim wzruszeniem Władimir zabrał się do czytania: pisane były w czasie wyprawy tureckiej i były adresowane z Kistieniewki na pocztę polową. Matka opisywała swoje samotne życie, zajęcia gospodarskie, czule skarżyła się na rozłąkę i wzywała nieobecnego do domu, w objęcia kochającej żony. W jednym z tych listów wyrażała niepokój o zdrowie malutkiego Władimira; w innym cieszyła się z jego wcześniej przejawiających się zdolności i przewidywała dlań szczęśliwą i wspaniałą przyszłość. Władimir zaczytał się i zapomniał o całym świecie. Pograżony duszą w spokoju szczęścia rodzinnego, nie zauważył nawet, jak mijały godziny, jak zegar ścienny wybił jedenastą. Władimir wsunął listy do kieszeni, wziął świecę i wyszedł z gabinetu. W salonie spali na podłodze urzędnicy sądu. Na stole stały wypróżnione przez nich szklanki i w pokoju czuć było mocny zapach rumu. Minął ich ze wstrętem i przeszedł do przedpokoju. Drzwi były zamknięte; nie znalazłszy klucza Władimir wrócił do salonu – klucz leżał na stole, Władimir otworzył drzwi i natknął się na

wciśniętego w kąt człowieka – w ręku jego błyszczała siekiera. Zwróciwszy się ku niemu ze świecą, Władimir poznał kowala Archipa.

– Co tutaj robisz? – zapytał.

– Ach, Władimirze Andrejewiczu, to pan – odpowiedział szeptem Archip – Boże zmiłuj się i zbaw! Dobrze, że pan szedł ze świecą!

Władimir patrzył na niego ze zdumieniem.

– Po coś się tu ukrył? – zapytał kowala.

– Chciałem... przyszedłem... chciałem sprawdzić, czy wszystko jest w porządku – z cicha odpowiedział Archip przerywanym głosem.

– A po co ta siekiera?

– Po co siekiera? – A czy można dziś chodzić bez siekiery? Ci urzędnicy to takie łobuzy – wszystkiego można po nich się spodziewać...

– Jesteś pijany, rzuć siekierę i idź się wyspać.

– Ja jestem pijany? Dobrodzieju, Władimirze Andrejewiczu, Bóg mi świadkiem, że ani jednej kropelki nie wzięłem do ust. – A zresztą, czy komu przyszłoby teraz do głowy pić, słyszane rzeczy – gryzipiórki chcą nami rządzić, gryzipiórki pędzą naszych panów ze dwora... Ach, chrapią potępieńcy – żeby tak wszystkich naraz – i zrobić z tym wszystkim koniec.

Dubrowski zasepił się.

– Posłuchaj, Archipie – powiedział po chwili milczenia – niedobłą rzecz zamyśliłeś. To nie urzędnicy winni. Zaświeć latarnię i chodź ze mną.

Archip wziął świecę z rąk dziedzica, odszukał za piecem latarnię, zaświecił ją i obaj po cichu zeszli z ganku i poszli wzdłuż podwórza; stróż nocny zaczął walić w żelazną deskę, zaszczekały psy.

– Kto dziś na stróżę? – zapytał Dubrowski.

– My, ojciec – odpowiedział cienki głos – Wasylisa i Łukeria.

– Idźcie do domu – powiedział Dubrowski – nie jesteście już potrzebne.

– Dość pracy – rzekł Archip.

– Dziękujemy, ojciec – odpowiedziały baby i natychmiast ruszyły do domu.

Dubrowski poszedł dalej. Dwaj ludzie zbliżyli się ku niemu; okrzyknęli go – Dubrowski poznał głos Antoniego i Griszy.

– Dlaczego nie śpicie? – zapytał ich.

– Gdzie nam do snu – odpowiedział Antoni – czegośmy dożyli, kto by pomyślał...

– Ciszej! – przerwał mu Dubrowski – gdzie Jegorowna?

– We dworze, w swoim pokoiku – odrzekł Grisza.

– Idź, zawołaj ją tutaj i wyprowadź z domu wszystkich naszych ludzi, żeby nikt tam nie został – prócz urzędników. – A ty, Antoni, zaprzęgnij wóz.

Grisza poszedł i po chwili zjawił się ze swoją matką. Staruszka nie spała; tej nocy nikt w domu poza sadownikami nie zmrużył oka.

– Czy wszyscy są tutaj ? – zapytał Dubrowski – nikt nie został w domu?

– Nikt prócz gryziopiórków – odrzekł Grisza.

– Dajcie tu siana albo słomy – rzekł Dubrowski.

Pobiegli do stajni i powrócili niosąc naręcza siana.

– Podłóżcie pod ganek. O tak. No, chłopcy, ognia!

Archip otworzył latarnię – Dubrowski zapalił drzazgę.

– Zaczekaj – rzekł do Archipa – zdaje się, że w pośpiechu zamknąłem drzwi do przedpokoju – idź prędko i otwórz je.

Archip pobiegł do sieni – drzwi były otwarte. Archip zamknął je na klucz mówiąc półgłosem: *jeszcze by też, otworzyć!* – i wrócił do Dubrowskiego.

Dubrowski przytknął drzazgę, siano się zapaliło, płomień się wzbił – i oświetlił całe podwórze.

– Ach! – zawołała Jegorowna żałośnie – Władimirze Andrejewiczu, co ty robisz!

– Milcz – rzekł Dubrowski. – No, dzieci, żegnajcie, idę, gdzie Bóg poprowadzi; niech się wam szczęści z waszym nowym panem.

– Ojczulku nasz, dobrodzieju – odpowiedziała służba. – Umrzemy, a ciebie nie porzucimy, idziemy z tobą.

Podano konie. Dubrowski siadł z Grisza na wóz, a pozostałym wyznaczył miejsce spotkania – las kistieniewski. Antoni zdzielił konie biczem i wyjechali.

Podniósł się wiatr. W jednej chwili płomień ogarnął cały dom. Czerwony dym wił się nad dachem. Szyby pękały z brzękiem, zaczęły spadać płonące krokwie, rozległy się żałosne jęki i wrzaski: – Palimy się, na pomoc, na pomoc!

– *Jeszcze by też* – rzekł Archip patrząc na pożar ze złym uśmiechem.

– Archipuszka – powiedziała Jegorowna – wyratuj tych przeklętników, Bóg cię wynagrodzi.

– *Jeszcze by też* – odpowiedział kowal.

W tej samej chwili w oknie ukazali się urzędnicy, którzy usiłowali wyłamać podwójne ramy. Ale nagle dach z trzaskiem runął i krzyki zamilkły. Wkrótce cała służba dworska wysypała się na dwór. Baby z krzykiem spieszyły się, by ratować swe graty, dzieci podskakiwały zachwycone pożarem. Iskry sypały się jak ognista zamieć, zapaliły się chaty.

– Teraz wszystko pięknie – rzekł Archip – no, jak się pali, co? Na pewno z Pokrowskoje przyjemnie im patrzeć na to.

W tej chwili zwróciło ogólną uwagę nowe widowisko: po dachu płonącej szopy biegał kot nie wiedząc, gdzie ma skoczyć – ze wszystkich stron otaczały go płomienie. Biedne zwierzę wzywało pomocy żalnym miauczeniem, chłopcy zataczali się ze śmiechu patrząc na jego rozpacz.

– Czego się śmiejecie, diabły – rzekł do nich z gniewem kowal – Boga się nie boicie, boże stworzenie ginie, a wy z głupia cieszyacie się – i przystawiwszy drabinę do płonącego dachu, wdrapał się na górę po kota. Zwierzę zrozumiało jego zamiary i z pośpieszną wdzięcznością uczepiło się jego rękawa. Na wpół opalony kowal zeszedł na dół ze swoją zdobyczą.

– No, chłopcy, żegnajcie – rzekł do zmieszanej służby dworskiej – nie mam tu już nic do roboty. Bądźcie zdrowi, nie wspominajcie mnie źle.

Kowal odszedł, pożar szalał jeszcze przez czas pewien. Wreszcie się uspokoił. Kupy węgla jaskrawo żarzyły się bez płomienia w ciemności nocy, a wokoło nich błakali się pogorzelnicy z Kistieniewki.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Na drugi dzień wieść o pożarze rozniosła się po całej okolicy. Wszyscy o nim mówili snując przeróżne domysły i przypuszczenia. Jedni zapewniali, że służba Dubrowskiego, upiwszy się na pogrzebie, zapaliła dom przez nieostrożność, inni oskarżali urzędników sądowych, którzy podchmielili sobie na nowym mieszkaniu, wielu zapewniało, że Dubrowski sam spłonął z sądem ziemskim i całą swoją służbą, niektórzy domyślali się prawdy i twierdzili, iż winowajcą tej okropnej klęski był sam Dubrowski, ogarnięty gniewem i rozpaczą. Trojekurow przyjechał zaraz nazajutrz na miejsce pożaru i sam przeprowadził śledztwo. Okazało się, że sprawnik, asesor sądu ziemskiego, patron trybunału i pisarz, zarówno jak i Władimir Dubrowski, niańka Jegorowna, służący dworski Grigorij, woźnica Antoni i kowal Archip przepadli bez wieści... Cała służba dworska zeznała, że urzędnicy sądowi spłonęli w chwili, gdy zawalił się dach; znaleziono ich popalone kości. Baby Wasylisa i Łukieria przyznały, że widziały Dubrowskiego i kowala Archipa na kilka minut przed pożarem. Wszyscy zeznawali, że kowal Archip żył i był zapewne głównym, jeśli nie jedynym sprawcą pożaru. Na Dubrowskim ciążyły mocne podejrzenia. Kiryła Pietrowicz posłał do gubernatora dokładny opis całego wydarzenia i potoczyła się nowa sprawa.

Wkrótce inne jeszcze wieści stały się tematem rozmów i powszechnego zainteresowania. W zjawili się rozbójnicy, którzy rzucili postrach na całą okolicę. Przedsięwzięte przeciwko nim przez rząd środki okazały się nie wystarczające. Grabieże następowały jedna po drugiej, jedna od drugiej bardziej zadziwiającej. Nikt nie czuł się bezpiecznie ani na drogach, ani po wsiach. Zbójcy rozjeżdżali w biały dzień kilkoma trójkami koni po całej guberni, zatrzymywali podróżnych i pocztę, zajeżdżali do wsi, rabowali dwory i puszczały je z dymem. Herszt bandy słynął z rozumu, odwagi i pewnej wielkoduszności. Opowiadano o nim cuda; imię Dubrowskiego było na wszystkich ustach, wszyscy byli przekonani, że to nikt inny, tylko on był przywódcą odważnych złoczyńców. Dziwiono się jednemu – rozbójnicy oszczędzali majątności Trojekurowa, nie rozgrabili mu ani jednej stodoły, nie zatrzymali ani jednego wozu. Powodowany zwykłą sobie pychą, Trojekurow tłumaczył ten wyjątek przerażeniem, jakie wpoił całej guberni, a także wyjątkowo dobrą policją, jaką zorganizował w swoich wsiach. Z początku sąsiedzi kpili po cichu z tej zarozumiałości Trojekurowa i co

dzień oczekiwali, że nieproszeni goście nawiedzą Pokrowskoje, gdzie mieliby się czym pożywić, lecz wkrótce byli zmuszeni przyznać mu rację, że zbójcy okazwali mu niezrozumiały szacunek... Trojekurow triumfował i na każdą wieść o nowym rabunku Dubrowskiego nie szczędził drwin z gubernatora, sprawników i komendantów rot, którym Dubrowski wywijał się zawsze bez szwanku.

Tymczasem zbliżył się dzień pierwszego października – doroczne święto patrona cerkwi w majątku Trojekurowa. Lecz zanim przystąpimy do opisanie tej uroczystości i dalszych wypadków, musimy zaznajomić czytelnika z postaciami nowymi dla niego albo też z takimi, o których pobieżnie tylko wspomnieliśmy na początku naszej opowieści.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Czytelnik zapewne już się domyślił, że córka Kiryły Pietrowicza, o której powiedzieliśmy jedynie kilka słów, jest bohaterką naszej opowieści. W epoce przez nas opisywanej miała siedemnaście lat, a uroda jej była w pełnym rozkwicie. Ojciec kochał ją do szaleństwa, lecz postępował z nią z właściwym mu brakiem opanowania, to starając się dogodzić najmniejszym jej zachciankom, to znów przerażając ją surowym, a niekiedy nawet wręcz okrutnym postępowaniem. Dufając, że posiada jej przywiązanie, nigdy nie mógł zdobyć sobie zaufania córki. Przyzwyczaiła się ukrywać przed nim swoje uczucia i myśli, bowiem nigdy nie wiedziała na pewno, w jaki sposób będą przez niego przyjęte. Nie miała koleżanek i wyrosła w samotności. Żony i córki sąsiadów rzadko zajeżdżały do Kiryły Pietrowicza, w domu którego rozmowy i zabawy odpowiednie były raczej dla mężczyzn niż dla dam. Bohaterka nasza bardzo rzadko zjawiała się pomiędzy gośćmi, którzy ucztowali u Kiryły Pietrowicza. Oddano jej do rozporządzenia ogromną bibliotekę składającą się przeważnie z utworów francuskich pisarzy XVIII wieku. Ojciec, który nigdy nie czytał nic prócz *Kucharki doskonałej*, nie mógł kierować jej wyborem książek i Masza, przewertowawszy wszelkiego rodzaju utwory, oczywiście zatrzymała się na romansach. W ten sposób dopełniła swojej edukacji, rozpoczętej kiedyś pod kierownictwem mam'selle Mimi, której Kiryła Pietrowicz okazywał dużo zaufania i życzliwości, a którą, zmuszony był wreszcie wysłać po cichutku do innego majątku, gdy skutki tej przyjaźni okazały się zbyt jawne. Mam'selle Mimi pozostawiła po sobie dość wdzięczną pamięć. Była to dobra dziewczyna i nigdy nie obracała na złe wpływu, który wyraźnie miała nad Kiryłą Pietrowiczem, czym różniła się od innych, tak często zmienianych przez niego faworyt. Sam Kiryła Pietrowicz wyraźnie lubił ją bardziej niż inne, a czarnooki chłopak, dziewięcioletni łobuz, którego rysy przypominały południowe rysy mam'selle Mimi, wychowywał się pod jego okiem i uznany był przez niego za syna, pomimo że mnóstwo bosych dzieciaków, podobnych jak dwie krople wody do Kiryły Pietrowicza, a zaliczanych do służby dworskiej, biegało pod jego oknami. Kiryła Pietrowicz sprowadził z Moskwy dla swego małego Saszy nauczyciela Francuza, który przybył do Pokrowskoje w czasie opisywanych przez nas wypadków.

Ów nauczyciel spodobał się Kiryle Pietrowiczowi dla swej przyjemnej powierzchowności i prostego obejścia. Przedstawił on Kiryle Pietrowiczowi swoje świadectwa i list jednego z krewnych Trojekurowa, u którego przez cztery lata był guwernerem. Kiryła Pietrowicz wszystko to przejrzał i nie zadowolili go jedynie młody wiek Francuza, nie dlatego, by uważał, że ta miła wada nie idzie w parze z cierpliwością i doświadczeniem, tak koniecznymi dla nieszczęsnego zawodu nauczyciela, lecz dlatego, że miał pewne wątpliwości, które postanowił natychmiast wyjaśnić. W tym celu kazał wezwać do siebie Maszę (Kiryła Pietrowicz po francusku nie mówił i Masza służyła mu za tłumaczkę).

– Zbliź się tu, Masza: powiedz temu musju – niech już tam, przyjmę go, pod warunkiem jednak, żeby się nie śmiał włóczyć za moimi dziewczętami, a jak mnie nie posłucha, to ja go, psia jego mać... przetłumacz mu to, Masza.

Masza zaczerwieniła się i zwracając się do nauczyciela powiedziała po francusku, że ojciec liczy na jego skromność i przyzwoite zachowanie.

Francuz odpowiedział jej z ukłonem, że ma nadzieję, iż zasłuży sobie na szacunek nawet wtedy, gdyby mu odmówiono życzliwości.

Masza dosłownie przetłumaczyła tę odpowiedź.

– Dobrze, dobrze – odpowiedział Kiryła Pietrowicz – na co mu tam życzliwość czy szacunek, jego rzeczą jest uważać na Saszę i uczyć go gramatyki i geografii – przetłumacz mu to.

Maria Kiryłowna złagodziła w swym przekładzie ordynarne wyrażenia ojca i Kiryła Pietrowicz pozwolił swojemu Francuzowi pójść do oficyny, gdzie wyznaczono mu pokój.

Masza, wychowana w arystokratycznych przesądach, nie zwróciła uwagi na młodego Francuza, nauczyciel był dla niej czymś w rodzaju służącego lub rzemieślnika, a służący czy rzemieślnik nie wydawał jej się mężczyzną. Nie zauważyła również wrażenia, jakie wywarła na Deforge'u, ani jego zmieszania, ani drżenia, ani też zmienionego głosu. Przez kilka dni następnych spotykała go dość często, nie zaszczycając większą uwagą. W nieoczekiwany sposób nabrała o nim zupełnie innego mniemania.

Na dworze Kiryły Pietrowicza chowano zazwyczaj kilka niedźwiadków, które stanowiły jedną z ważniejszych rozrywek pokrowskiego dworu. Gdy były jeszcze zupełnie młode, przyprowadzano je codziennie do bawialni, gdzie Kiryła Pietrowicz całymi godzinami zajmował się nimi, szczując je na koty i szczenięta. Gdy już męźniały, brano je na łańcuch w oczekiwaniu na prawdziwą nagonkę. Czasami przeprowadzano je przed oknami dworu i przytaczano im próżną, nabitą gwoździami beczkę od wina; niedźwiedź ją obwąchiwał, potem leciutko dotykał, kłuł się w łapy, wpadłszy w gniew pchał ją coraz mocniej i coraz mocniejszy

odczuwał ból. Niedźwiedź wpadał w zupełne szaleństwo, z rykiem rzucał się na beczkę, póki biednemu zwierzęciu nie odebrano przedmiotu jego próżnej wściekłości. Zdarzało się, że zaprzęgano parę niedźwiedzi do wozu, siłą wsadzano tam gości i puszczano na wolę boską. Lecz za najlepszy Kiryła Pietrowicz uważał następujący kawał: wygłodniałego niedźwiedzia zamykano w pustym pokoju, przywiązując sznurem do wbitego w ścianę haka. Sznur był tak długi, że tylko jeden przeciwległy kąt pokoju stanowił bezpieczne schronienie przed napaścią straszego zwierza. Zazwyczaj przyprowadzano nowicjusza ku drzwiom tego pokoju, niby przypadkiem wpychano go do niedźwiedzia, drzwi się zamykały i nieszczęsna ofiara pozostawała sam na sam z kudłatym pustelnikiem. Biedny gość, z obdartą połą, podrapany do krwi, wkrótce znajdował bezpieczny kąt, lecz niekiedy zmuszony był przez całe trzy godziny stać przyciśnięty do ściany i patrzeć, jak rozwścieczony zwierz w odległości dwóch kroków od niego ryczy, skacze, wspina się na tylne łapy, szarpie się i usiłuje go osiągnąć. Takie były szlachetne zabawy rosyjskiego szlachcica. W kilka dni po przyjeździe nauczyciela Trojekurow przypomniawszy sobie o nim i zapragnął sprawić mu poczęstunek w niedźwiedzim pokoju: w tym celu, wezwawszy go pewnego ranka, poprowadził przez ciemne korytarze – naraz boczne drzwi otwierają się – dwóch służących wpycha przez nie Francuza i zamyka je na klucz. Opamiętawszy się nauczyciel ujrzał przywiązanego niedźwiedzia; zwierz zaczął parskać, węsząc z daleka swego gościa i nagle podniósłszy się na tylne łapy rzucił się na niego... Francuz nie zmieszał się, nie próbował uciekać i czekał na atak. Niedźwiedź się zbliżył, Deforge wyjął z kieszeni mały pistolet, włożył go w ucho wygłodniałego zwierza i wystrzelił. Niedźwiedź padł. Wszyscy się zbiegli, drzwi otworzono – wszedł Kiryła Pietrowicz, zdumiony finałem swego żartu.

Kiryła Pietrowicz zażądał natychmiast wyjaśnienia całej sprawy – kto uprzedził Deforge'a, że szykuje się na niego tego rodzaju zamach i po co nosi on w kieszeni nabity pistolet. Trojekurow posłał po Maszę, Masza przybiegła i przetłumaczyła Francuzowi pytanie ojca.

– Nie słyszałem o niedźwiedziu – odrzekł Deforge – ale zawsze noszę przy sobie pistolety, ponieważ nie mam zamiaru znosić zniewag, za które ze względu na moje stanowisko nie mogę żądać satysfakcji.

Masza patrzyła nań ze zdumieniem i przełożyła jego słowa Kiryła Pietrowiczowi. Kiryła Pietrowicz nic nie odpowiedział, kazał wyciągnąć niedźwiedzia i zdjąć z niego skórę; później zwracając się do służby rzekł: – A to zuch! Nie stchórzył, słowo daję, nie stchórzył. – Od tej chwili polubił Deforge'a i nie myślał już o poddawaniu go próbie.

Wypadek ten wywarł jednak jeszcze większe wrażenie na Marii Kiryłownie. Poruszył jej wyobraźnię: widziała nad zabitym niedźwiedziem Deforge'a, który spokojnie stał i spokojnie

z nią rozmawiał. Ujrzała, że odwaga i duma nie są przywilejem wyłącznie jednego stanu – i od tej pory zaczęła okazywać młodemu nauczycielowi szacunek i z dnia na dzień poświęcać mu coraz więcej uwagi. Nastąpiło pomiędzy nimi pewne zbliżenie. Masza miała śliczny głos i duże zdolności do muzyki. Deforge zaofiarował jej się z lekcjami. Po tym wszystkim czytelnik łatwo się domyśli, że Masza była już w nim zakochana, nie zdając sobie jeszcze z tego sprawy.

TOM DRUGI

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W przeddzień święta zaczęli zjeżdżać się goście, jedni zatrzymywali się we dworze i w oficynach, inni u ekonomów, część u popa, reszta u bogatych chłopów. – W stajniach pełno było obcych koni, podwórza i wozownie zatłoczone były przeróżnymi ekwipażami. O dziewiątej rano zadzwoniono na nabożeństwo i wszyscy wyruszyli do nowej murowanej cerkwi, wybudowanej przez Kiryłę Pietrowicza i rokrocznie przez niego obdarowywanej. Zebrało się takie mnóstwo szlachetnie urodzonych pobożnych, że prości chłopci nie mogli zmieścić się w cerkwi i stali w kruchcie i w ogrodzeniu cerkiewnym. Nabożeństwo nie zaczęło się jeszcze, wszyscy czekali na Kiryłę Pietrowicza. Kiryła Pietrowicz przyjechał kolaską zaprzężoną w szóstkę koni i uroczyście przeszedł na swoje miejsce w towarzystwie Marii Kiryłowny. Zwróciły się ku niej spojrzenia mężczyzn i kobiet. Pierwsi podziwiali jej urodę, drugie z uwagą oglądały jej strój. Zaczęło się nabożeństwo. Domowi śpiewacy śpiewali na chórze, Kiryła Pietrowicz sam im wtórował, modlił się nie patrząc ani na prawo, ani na lewo, i z dumną pokorą uderzył czołem o ziemię, gdy diakon donośnym głosem wspominał w modlitwie o *fundatorze tej świątyni*.

Nabożeństwo się skończyło. Kiryła Pietrowicz pierwszy podszedł całować krzyż. Wszyscy ruszyli za nim, potem sąsiedzi zbliżyli się, aby złożyć mu uszanowanie. Damy otoczyły Maszę. Kiryła Pietrowicz wychodząc z cerkwi zaprosił wszystkich na obiad, wsiadł w kolaskę i ruszył do domu. Wszyscy pojechali w ślad za nim. Pokoje napełniły się gośćmi. Co chwila wchodził ktoś nowy, z trudem przedostając się do gospodarza. Damy, ubrane wedle zapóźnionej mody, w zniszczonych, lecz drogich strojach, całe w perłach i brylantach, zasiadły poważnie w półkole; mężczyźni skupili się wokół kawioru i wódki – rozległ się

wielogłosy gwar. W salonie nakrywano do stołu na osiemdziesiąt osób. Służba kręciła się, rozstawiała butelki i karafki i wygładzała fałdy serwet. Wreszcie marszałek oznajmił: obiad na stole – i Kiryła Pietrowicz ruszył pierwszy, za nim szły damy i dumnie zajęły swoje miejsca, pilnie przestrzegając starszeństwa. Panny skupiły się pomiędzy sobą jak lękliwe stado kózek i wybrały sobie krzesła jedna przy drugiej. Naprzeciw nich umieścili się mężczyźni. Przy końcu stołu, obok małego Saszy, siadł nauczyciel.

Służący zaczęli roznosić talerze wedle wieku i urzędu, w wątpliwych razach kierując się domysłami Layatera, przy tym prawie zawsze bezbłędnie. Brzęk talerzy i łyżek złał się z głośnym gwarem. Kiryła Pietrowicz wesoło patrzył na swoją ucztę, napawając się do syta szczęściem gościnności... Właśnie wjechała na podwórze zaprzężona w sześć koni kolaska.

– Kto tam przyjechał? – zapytał gospodarz.

– Antoni Pafnuticz – odpowiedziało kilka głosów.

Drzwi się otworzyły i kłaniając się, uśmiechając i zabierając się od razu do przeproszeń, wtoczył się do stołowego Antoni Pafnuticz Spicyn, tegi mężczyzna około pięćdziesiątki z okrągłą, ospowatą twarzą ozdobioną potrójnym podbródkiem.

– Nakrycie – zawołał Kiryła Pietrowicz. – Prosimy, prosimy, Antoni Pafnuticz, siadaj pan i wyjaśnij nam, co to znaczy. Nie byłeś na moim nabożeństwie i spóźniłeś się na obiad. To do ciebie niepodobne. Jesteś pobożny, a jednocześnie lubisz dobrze sobie podjeść.

– Przepraszam – odpowiedział Antoni Pafnuticz przywiązując serwatkę do pętlicy surduta koloru grochu. – Przepraszam, panie dobrodzieju Kiryło Pietrowiczu, wyruszyłem wcześniej w drogę, ale nie zdążyłem przejechać nawet dziesięciu wiorst, gdy nagle okucie u przedniego koła... trzask – na pół. I co tu robić? Na szczęście wieś była niedaleko – ale nim się do niej dowlekliśmy, nim odszukaliśmy kowala i wszystko jakoś oporządził, minęły całe trzy godziny. – Ale trudno. Jechać bliższą drogą, przez las kistieniewski nie ośmieliłem się i pojechałem naokoło...

– Aha! – przerwał Kiryła Pietrowicz. – Toś ty, bracie, nie z tych odważnych; czegoż się boisz?

– Jak to czego się boję, panie dobrodzieju Kiryło Pietrowiczu, a Dubrowski to co? Tylko patrzeć, jak można mu wpaść w łapy – on jedyny do tego, nikomu nie daruje, a ze mnie to bodaj i dwie skóry zedrze.

– Za cóż to, bracie, takie wyróżnienie?

– Jak to, panie dobrodzieju Kiryło Pietrowiczu, a za proces nieboszczyka Andrzeja Gawryłowicza. Czyż to nie ja dla pańskiej przyjemności, to znaczy wedle sprawiedliwości i sumienia zeznałem, że Dubrowscy posiadają, Kistieniewkę bez żadnego na to prawa i jedynie

z pańskiej łaski? Nieboszczyk (Panie, świeć nad jego duszą) obiecał, że się ze mną za to po swojemu rozmówi i synek pewno dotrzyma ojcowskiego słowa. Dotychczas Pan Bóg jakoś był łaskaw. – Wszystkiego rozgrabiono mi tylko jedną stodołę, ale tylko patrzeć, jak się dobiorą do dworu.

– A we dworze będą mieli używanie – stwierdził Kiryła Pietrowicz – bo to chyba i szkatuleczka pełniutka...

– Gdzie tam, panie dobrodzieju Kiryło Pietrowiczu, była pełna, ale teraz opróżniła się całkowicie.

– Nie kłam, Antoni Pafnuticzu. Znamy cię: nie masz nawet gdzie pieniędzy tracić, w domu żyjesz jak świnia, nikogo nie przyjmujesz, chłopów swoich obdzierasz, wiadomo, że ciułasz i nic więcej.

– Pan ciągle żartuje, panie dobrodzieju Kiryło Pietrowiczu – wymamrotał uśmiechając się Antoni Pafnuticz – a ja, Bóg mi świadkiem, jestem zrujnowany – i Antoni Pafnuticz zaczął zagryzać pański dowcip gospodarza tłustym kawałem kulebiaku.

Kiryła Pietrowicz dał mu spokój i zwrócił się do nowego sprawnika, który po raz pierwszy przyjechał do niego w gości i siedział na drugim końcu stołu obok nauczyciela.

– A co, może choć pan, panie sprawniku, schwyta wreszcie Dubrowskiego?

Sprawnik przeląkł się, uklonił się, uśmiechnął się, zająknął się i wreszcie powiedział:

– Postaramy się, wasza ekscelencjo.

– Hm, postaramy się. Nic, tylko się starają, a skutku żadnego nie widać. Bo i prawda, po co mają go chwytać; rozboje Dubrowskiego to gratka dla sprawników – wyjazdy, śledztwa, podwody, a pieniądze płyną do kieszeni – no i jak tu stracić takiego dobroczyńcę. Czy nieprawda, panie sprawniku?

– Święta prawda, wasza ekscelencjo – odpowiedział całkowicie skonfundowany sprawnik.

Goście wybuchnęli śmiechem.

– Lubię szczerłość – powiedział Kiryła Pietrowicz. – A szkoda naszego świętej pamięci sprawnika Tarasa Aleksiejewicza. Gdyby go nie spalili, to w całej okolicy byłoby spokojniej. A co mówią o Dubrowskim? Gdzie go widziano po raz ostatni?

– U mnie, Kiryło Pietrowiczu – zapiszczał donośny damski głos – w zeszły wtorek jadł u mnie obiad...

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Annę Sawiszną Globową, dość rubaszną wdowę, którą wszyscy lubili za dobre i wesołe usposobienie. Wszyscy z zaciekawieniem oczekiwali jej opowiadania.

– Trzeba państwu wiedzieć, że trzy tygodnie temu posłałam rządcę na pocztę z pieniędzmi dla mojego Waniuszy. Nie rozpieszczę zbytnio syna, a zresztą, choćbym nawet chciała, to nie stać mnie na rozpieszczanie, jednakże sami państwo wiecie: oficer gwardii musi żyć na przyzwoitej stopie i ja, jak mogę, dzielę się z Waniuszą swoimi dochodami. No i posłałam mu dwa tysiące rubli i choć myśl o Dubrowskim nieraz przychodziła mi do głowy, to jednak medytuję sobie: do miasta blisko, wszystkiego siedem wiorst, jakoś tam Bóg przeprowadzi. Patrzę, a tu wieczorem mój rządcą wraca pieszo, blady i obdarty – tylko jęknęłam – no co? co się stało? A on do mnie: „Anno Sawiszno, zbójcy mnie ograbili, o mało mnie nie zabili – sam Dubrowski tam był, chciał mnie powiesić, ale się zlitował i puścił – za to obrał do nitki – odebrał i konia, i wóz.” Zaniemówiłam; Boże miłosiwy w niebiosach, co będzie z moim Waniuszą? Co tu robić? Napisałam do syna list, opowiedziałam mu wszystko i zamiast pieniędzy posłałam swoje błogosławieństwo.

Minął jeden tydzień, drugi – aż tu nagle zajeżdża do mnie przed dom kolaska. Jakiś generał chce się ze mną zobaczyć: proszę bardzo, jeśli łaska; wchodzi mężczyzna lat jakichś trzydziestu pięciu, smagły, czarnowłosa, z brodą, z wąsami, istny portret Kulniewa, przedstawia mi się jako przyjaciel i kolega nieboszczyka mojego męża, Iwana Andrejewicza; powiada, że przejeżdżał мимо i uważał za swój obowiązek wstąpić do wdowy po Iwanie Andrejewiczu, gdyż wiedział, że tutaj mieszkam. Ugościłam go, jak mogłam, zaczęliśmy rozmawiać o tym, o owym, a wreszcie o Dubrowskim. Opowiedziałam mu o swoim zmartwieniu. Mój generał jak się nie nachmurzy:

„To dziwne – powiada – słyszałem, że Dubrowski napada nie na każdego, a tylko na znanych bogaczy, i nawet wtedy dzieli się z nimi, a nie rabuje do czysta. A co się tyczy zabójstw, to o to nikt go nie oskarża. Czy w tym nie ma jakiegoś szachrajstwa, niech pani każe wezwać swego rządcę.” Posłałam po rządcę, ten się zjawił: jak tylko zobaczył generała, to po prostu osłupiał. „Opowiedz mi, bracie, w jaki to sposób Dubrowski cię ograbił i jak to chciał cię powiesić.” Mój rządcą zadrżał i padł generałowi do nóg. „Niech mi pan wybaczy – zgrzeszyłem – skłamałem.” „No jeśli tak, to bądź łaskaw opowiedzieć swojej pani, jak to było, a ja posłucham.” Rządcą zaczął się płatać. „No cóż – mówił dalej generał – opowiadaj: gdzie się spotkał z Dubrowskim?” – „Przy dwóch sosnach, panie, przy dwóch sosnach.” – „No i cóż on ci powiedział?” – „Zapytał mnie: czyj jesteś, dokąd jedziesz i po co?” – „No, a potem?” – „A potem zażądał, bym mu dał list i pieniądze.” – „No?” – „Oddałem mu list i pieniądze.” – „No, a on co na to?” – „Niech mi pan wybaczy.” – „No, ale cóż on zrobił?” – „Zwrócił mi pieniądze i list i powiedział: idź sobie z Bogiem – oddaj to na pocztę.” – „No, a tyś co zrobił?” – „Niech mi pan wybaczy.” – „Ja się z tobą, bracie, rozprawię – powiedział

groźnie generał – a łaskawa pani niech każe przeszukać kufer tego szubrawca, a później mi go wyda, już ja go nauczę. Niech pani wie, że Dubrowski sam był oficerem gwardii i nigdy nie skrzywdziłby kolegi.” – Domyśliłam się, kim był jego ekscelencja i nijako mi było z nim dyskutować. Stangreci posadzili związanego rządcę na koźle kolaski – pieniądze się znalazły; generał zjadł u mnie obiad i natychmiast potem wyjechał zabierając ze sobą rządcę. Rządcę mojego znaleziono na drugi dzień w lesie, przywiązanego do dębu i obdartego jak chłop pod lipą.

Wszyscy słuchali w milczeniu opowiadania Anny Sawiszny, a zwłaszcza panny. Wiele z nich w głębi duszy współczuło Dubrowskiemu widząc w nim romantycznego bohatera – zwłaszcza Maria Kiryłowna, płomienna marzycielka, przesiąknięta tajemniczymi okropnościami pani Radcliffe.

– I pani, Anno Sawiszno, sądzisz, że był u ciebie sam Dubrowski? – zapytał Kiryła Pietrowicz. – Bardzo się mylisz. Nie wiem, kto u ciebie był w gościnie, ale na pewno nie Dubrowski.

– Jak to, dobrodzieju, nie Dubrowski; a któż jeśli nie on wyszedłby sobie na drogę, zatrzymywał przechodniów i ich badał?

– Nie wiem, ale to z pewnością nie był Dubrowski. Pamiętam go jako dziecko, nie wiem, czy mu pociemniały włosy – wtedy był to jasnowłosy i kędzierzawy chłopiec – ale wiem na pewno, że Dubrowski jest o pięć lat starszy od mojej Maszy, a więc ma nie trzydzieści pięć lat, lecz około dwudziestu trzech.

– Tak jest, wasza ekscelencjo – oznajmił sprawnik – mam w kieszeni rysopis Władimira Dubrowskiego. W rysopisie jest powiedziane, że ma dwadzieścia dwa lata.

– A! – rzekł Kiryła Pietrowicz – niech no pan przeczyta przy okazji, a my sobie posłuchamy, nie od rzeczy będzie poznać jego rysopis, a nuż na oczy się komu nawinie, to już się nie wywinie.

Sprawnik wyjął z kieszeni nieco przybrudzony arkusz papieru, rozłożył go z dumną miną i zaczął czytać śpiewnym głosem:

„Rysopis Władimira Dubrowskiego sporządzony wedle zeznań jego byłej służby folwarcznej.

Wiek: lat dwadzieścia dwa, *wzrost:* średni, *twarz:* owalna, *brody* nie nosi, *oczy* ciemne, *włosy* ciemnoblonde, *nos* prosty. *Znaki szczególne:* brak.”

– I tylko tyle? – zapytał Kiryła Pietrowicz.

– Tylko tyle – odpowiedział sprawnik składając papier.

– Winszuję, panie sprawniku. Ależ to dokument! Wedle tych oznak niechybnie znajdzie pan Dubrowskiego. A pokaż mi pan człowieka, który by nie był średniego wzrostu, nie miał ciemnych oczu, prostego nosa i ciemnoblonde włosów! Staję o zakład, że przez trzy godziny będziesz pan rozmawiał z samym Dubrowskim i nie domyślisz się, z kim masz do czynienia. Nie ma co! Mądre głowy z naszych urzędników!

Sprawnik pokornie włożył do kieszeni swój dokument i w milczeniu zabrał się do gęsi z kapustą.

Tymczasem lokaje zdążyli już kilka razy obejść gości, nalewając każdemu kieliszki. Strzeliły już korki kilku butelek goryjskiego i cymiańskiego wina, które przyjęto życzliwie jako szampańskie. Twarze zaczynały płonąć, rozmowy stawały się coraz weselsze, dźwięczniejsze i coraz bardziej bezładne.

– Nie – mówił dalej Kiryła Pietrowicz – już nie będzie takiego sprawnika, jak nieboszczyk Taras Aleksiejewicz. Ten nie chybiał nigdy, to nie był gamoń. Szkoda, że się spalił. Przy nim nie uchroniłby się ani jeden bandyta z całej szajki, on by wyłowił wszystkich co do jednego – nawet sam Dubrowski nie wywinąłby mu się i nie wykupił. Taras Aleksiejewicz pieniądze by od niego oczywiście wziął, ale by go nie wypuścił. Taki już miał nieboszczyk zwyczaj. Nie ma co, widać będę musiał sam wziąć się do tego i wyprawić się na zbójów z moimi domownikami. Na początek wyznaczę ze dwudziestu ludzi, aby oczyścili złodziejski las; to nie tchórze, każdy w pojedynkę na niedźwiedzia chodzi – i zbójów się też nie ulękną.

– Jak tam zdrowie pańskiego niedźwiedzia, panie dobrodzieju Kiryło Pietrowiczu? – zapytał Antoni Pafnuticz przypomniawszy sobie przy tych słowach o swoim kosmatym znajomku i o pewnych dowcipach, których sam padł ofiarą.

– Miś zginął śmiercią walecznych – odpowiedział Kiryła Pietrowicz – z ręki nieprzyjaciela. Oto jego pogromca – Kiryła Pietrowicz wskazał na Deforge'a – spójrz na mojego Francuza. On pomścił twoją... za przeproszeniem... pamiętasz?

– Jakżebym miał nie pamiętać – powiedział Antoni Pafnuticz drapiąc się w głowę – doskonale pamiętam. A więc Miś nie żyje, szkoda Misia, słowo daję, że szkoda. Jakież to był zbytnik! jaki mądrała! Drugiego takiego niedźwiedzia ze świecą szukać. A dlaczego musju go zabił?

Kiryła Pietrowicz z wielką uciechą zaczął opowiadać o bohaterskim czynie swojego Francuza, miał bowiem szczęśliwą zdolność pysznienia się wszystkim, co go otaczało. Goście z uwagą słuchali opowiadania o śmierci Misia i ze zdumieniem patrzyli na Deforge'a, który nie podejrzewając, że mowa o jego odwadze, siedział spokojnie i dawał moralne nauki swemu swawolnemu wychowankowi.

Obiad, który trwał już około trzech godzin, skończył się wreszcie; gospodarz położył serwetkę na stole, wszyscy wstali i przeszli do bawialni, gdzie już czekała, na nich kawa, karty i dalszy ciąg tak świetnie rozpoczętej w stołowym pokoju pijatyki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Okolo siódmej wieczorem niektórzy goście chcieli wracać do domu. Rozweselony ponczem gospodarz kazał zamknąć bramę i oznajmił, że do rana nikogo z dworu nie wypuści. Wkrótce zabrzmiała muzyka, otworzyły się drzwi do salonu i rozpoczął się bal. Gospodarz siedział w kącie w towarzystwie przyjaciół, wychylając kielich za kielichem i patrząc z upodobaniem na zabawę młodzieży. Staruszki grały w karty. Kawalerów, jak wszędzie, gdzie nie kwateruje jakaś brygada ułanów, było mniej niż dam, wszyscy mężczyźni zdadni do tańca zostali zwerbowani. Nauczyciel wyróżniał się spośród wszystkich, tańczył więcej niż wszyscy, wszystkie panny wybierały go i uważały, że bardzo dobrze tańczy się z nim walca. Kilka razy przetańczył z Marią Kiryłowną, panny zauważyły to i zaczęły podrwiwać. Wreszcie okolo północy zmęczony gospodarz przerwał tańce, kazał podać kolację, a sam poszedł spać.

W nieobecności Kiryły Pietrowicza towarzystwo nabrało więcej swobody i żwawości. Kawalerowie ośmielili się zająć miejsca przy damach, panny zaczęły chichotać i szeptać ze swoimi sąsiadami; damy głośno rozmawiały przez stół. Mężczyźni pili, sprzecali się i śmieli – słowem, kolacja była nadzwyczaj wesoła i zostawiła po sobie wiele przyjemnych wspomnień.

Jeden tylko człowiek nie brał udziału w ogólnej wesołości – Antoni Pafnucicz siedział w ponurym milczeniu, jadł z roztargnieniem i wyglądał na zaniepokojonego. Rozmowy o zbójach poruszyły jego wyobraźnię. Wkrótce ujrzymy, że miał dostateczny powód, aby się ich obawiać.

Antoni Pafnucicz, gdy wzywał Boga na świadka, że jego czerwona szkatułka jest pusta, nie kłamał i nie grzeszył. Czerwona szkatułka istotnie była pusta, gdyż pieniądze, niegdyś w niej przechowywane, przeszły do skórzanego woreczka, który Antoni Pafnucicz nosił na piersi pod koszulą. Jedynie tą ostrożnością uśmierzał swój wieczny niepokój i brak zaufania do wszystkich. Zmuszony do nocowania w cudzym domu, bał się, by nie kazano mu spać w jakimś samotnym pokoju, gdzie łatwo mogliby zakraść się złodzieje, wypatrywał pewnego towarzysza noclegu i wreszcie wybrał Deforge'a. Jego pełna siły postawa, a zwłaszcza

odwaga, jaką okazał przy spotkaniu z niedźwiedziem, o którym biedny Antoni Pafnuticz nie mógł wspomnieć bez drżenia, zdecydowały o tym wyborze. Gdy goście wstali od stołu, Antoni począł krążyć wokół młodego Francuza pochrząkując i pokaszując, a wreszcie zwrócił się do niego:

– Czy nie mógłbym, musju, przenocować w pańskiej izdebce, ponieważ, rozumie pan...

– Que desire monsieur?¹ – zapytał Deforge, grzecznie mu się kłaniając.

– Eh, co za nieszczęście, żeś się jeszcze, musju, nie nauczył po rosyjsku. Że we mua, sze wu kusze², rozumiesz?

– Monsieur, très volontiers – odpowiedział Deforge – veuillez donner des ordres en conséquence³.

Antoni Pafnuticz, bardzo zadowolony ze swojej znajomości języka francuskiego, pośpieszył natychmiast wydać zarządzenia.

Goście zaczęli żegnać się ze sobą i każdy udał się do przeznaczonego dla siebie pokoju. A Antoni Pafnuticz poszedł z nauczycielem do oficyny. Noc była ciemna, Deforge oświetlił drogę latarnią. Antoni Pafnuticz szedł za nim dość odważnie, od czasu do czasu przyciskając do piersi ukryty woreczek – aby się przekonać, że pieniądze jeszcze ma przy sobie.

Przyszli do oficyny. Nauczyciel zapalił świecę i obaj zaczęli się rozbierać; jednocześnie Antoni Pafnuticz chodził po pokoju, oglądał zamki i okna i kiwał głową przy tym nie pocieszającym przeglądzie. Drzwi zamykały się tylko na jedną zasuwkę, okna nie miały przy tym podwójnych futryn. Antoni Pafnuticz spróbował poskarżyć się na to Deforge'owi, ale jego znajomość francuskiego była zbyt ograniczona dla tak skomplikowanych wyjaśnień. Francuz go nie zrozumiał i Antoni Pafnuticz zmuszony był przerwać swoje skargi. Łóżka ich stały naprzeciw siebie; obaj się położyli i nauczyciel zgasił światło.

– Purkua wu tusze? Purkua wu tusze?⁴ – zawołał Antoni Pafnuticz, odmieniając ni w pięć, ni w dziewięć z francuska rosyjski czasownik „*tuszit*”⁵ Ja nie mogę dormir⁶ po ciemku.

Deforge nie zrozumiał jego okrzyku i życzył mu dobrej nocy.

– Przeklęty bisurman – zamruczał Spicyn okrywając się kołdrą.

– Koniecznie musiał zgasić świecę. Tym gorzej dla niego. Nie mogę spać bez światła. – Musju, Musju – ciągnął – że we awek wu parle⁷.

¹ Czego pan sobie życzy?

² Chcę spać w pańskim pokoju.

³ Bardzo chętnie, proszę pana, zechce pan wydać odpowiednie rozkazy.

⁴ Dlaczego pan rusza?

⁵ Gasić.

⁶ Spać.

⁷ Chcę z panem rozmawiać.

Lecz Francuz nic nie odpowiedział i wkrótce zaczął chrapać.

„Chrapie bestia Francuz – pomyślał Antoni Pafnucicz – a ja nawet marzyć nie mogę o śnie – tylko patrzeć, jak złodzieje wejdą przez otwarte drzwi albo wliżą przez okno, a tej bestii nawet armatą nie będzie się można dobudzić”.

– Musju, hej, musju! – A niechże cię diabli porwą!

Antoni Pafnucicz zamilkł – zmęczenie i opary winne powoli przemogły jego lęk – zaczął drzemać i wkrótce ogarnął go głęboki sen.

Dziwne czekało go przebudzenie. Poczul przez sen, że ktoś po cichutku szarpie go za kołnierz od koszuli. Antoni Pafnucicz otworzył oczy – i w bladym świetle jesiennego poranka ujrzał nad sobą Deforge'a. Francuz w jednej ręce trzymał mały pistolet, drugą odpinał ukryty woreczek. Antoni Pafnucicz zamarł.

– Kes ke se, musju, kes ke se?⁸ – wyrzekł drżącym głosem.

– Milczeć – odpowiedział nauczyciel najczystsza rusczyzną – milczeć albo pan zginie. Jestem Dubrowski.

⁸ Co to jest, panie, co to znaczy?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Teraz prosimy czytelnika, by pozwolił wyjaśnić sobie ostatnie wypadki naszej powieści poprzednimi okolicznościami, których nie zdążyliśmy jeszcze opowiedzieć.

Na stacji w domu poczmistrza, o którym już wspomnieliśmy uprzednio, siedział w kącie podróżny o pokornym i cierpliwym wyglądzie, który od razu zdradzał nieszlachcica lub cudzoziemca, to znaczy człowieka nie mającego głosu na pocztowym trakcie. Bryczka jego stała na podwórzu czekając na smarowanie. Leżała w niej mała walizka, skromny dowód niepokaźnego majątku. Podróżny nie zamówił ani herbaty, ani kawy, wyglądał przez okno i pogwizdywał ku wielkiemu niezadowoleniu żony poczmistrza, siedzącej za przepierzeniem.

– Że też Pan Bóg takiego gwizdacza przyniósł – mówiła półgłosem – ale wygwizduje – ażebyś pękł, przekłety bisurmanie.

– No to co? – rzekł poczmistrz – co ci to szkodzi, niech sobie gwizdże.

– Co mi to szkodzi? – odpowiedziała gniewna małżonka – a czy ty nie wiesz, że to zły znak?

– Co za zły znak? Że gwizdanie pieniądze wyplaszają? E, Pachomowna, u nas czy gwizdać, czy nie gwizdać, a pieniędzy i tak, i tak nie ma.

– Puściłbyś już go, Sidorycz, też przyjemność trzymać go tutaj, daj mu konie i niech idzie do diabła.

– Zaczeka, Pachomowna, w stajni zaledwie trzy trójki, a czwarta odpoczywa, tylko patrzeć jak nadjadą jacyś przyzwoitsi podróżni; nie chcę własną głową odpowiadać za Francuza. O! właśnie jest ktoś! o, jak pędzi. Ehe, i jak szybko, czyżby to jaki generał?

Kolaska zatrzymała się przed gankiem. Służący zeskoczył z kozła, otworzył drzwiczki i po chwili wszedł do domu poczmistrza młodzieniec w wojskowym płaszczu i w białej czapce. W ślad za nim służący wniósł szkatułkę i postawił ją na oknie.

– Koni! – rzekł oficer rozkazującym głosem.

– W tej chwili – odpowiedział poczmistrz. – Pan pozwoli kartę podróżną.

– Nie mam karty podróżnej. Jadę w bok... Czy mnie nie poznajesz?

Poczmistrz zakrzętnął się i pośpieszył popędzić woźniców. Młody człowiek zaczął przechadzać się tam i z powrotem po pokoju, zajrzał za przepierzenie i zapytał cicho żony poczmistrza: kto to taki?

– A licho go tam wie – odpowiedziała – jakiś Francuz. Już od pięciu godzin czeka na konie i ciągle gwizdże. Znudził mi się, przeklętnik.

Młody człowiek przemówił do podróżnego po francusku.

– Dokąd pan jedzie? – zapytał.

– Do najbliższego miasta – odpowiedział Francuz. – Stamtąd mam jechać do pewnego ziemianina, który na niewidzianego przyjął mnie jako nauczyciela. Myślałem, że jeszcze dziś będę na miejscu, ale pan poczmistrz, zdaje się, sądzi inaczej. – Trudno w tym kraju dostać konie, panie oficerze.

– A u którego z tutejszych ziemian przyjął pan pracę? – zapytał oficer.

– U pana Trojekurowa – odrzekł Francuz.

– U Trojekurowa? Któż to taki ten Trojekurow?

– Ma foi, monsieur⁹, słyszałem o nim niezbyt dobrze. Powiadają, że to pan dumny i samowolny, okrutny wobec swoich domowników – że nikt sobie nie może z nim dać rady, że wszyscy drżą na sam dźwięk jego imienia, że z nauczycielami (avec les naoutchitels) nie robi sobie ceremonii, a dwóch już zatłukł różgami na śmierć.

– Jak to! i pan zdecydował się na służbę u takiego potwora?

– Co robić, panie oficerze. Ofiarowuje mi dobrą pensję, trzy tysiące rubli rocznie i całkowite utrzymanie. Być może będę miał więcej szczęścia od innych. Mam staruszkę matkę, połowę pensji będę jej posyłał na życie, a z pozostałych pieniędzy w ciągu pięciu lat mogę uciulać mały kapitalik, który mi pozwoli w przyszłości być niezależnym. – A wtedy bon soir¹⁰, jadę do Paryża i puszczam się w handlowe przedsięwzięcia.

– Czy zna pana ktoś w domu Trojekurowa? – zapytał młody człowiek.

– Nikt – odpowiedział nauczyciel. – Trojekurow wypisał mnie z Moskwy przez jednego ze swoich przyjaciół, któremu polecił mnie mój rodak, a jego kucharz. Trzeba panu wiedzieć, że się szykowałem nie na nauczyciela, lecz na cukiernika – ale powiedzieli mi, że w waszym kraju stanowisko nauczyciela jest znacznie bardziej intratne...

Oficer zamyślił się.

⁹ Doprawdy, panie...

¹⁰ Żegnam.

– Niech pan posłucha – przerwał zwracając się do Francuza – co by pan zrobił, gdyby panu zamiast tej przyszłości zaproponowano dziesięć tysięcy gotówką pod warunkiem, abyś natychmiast ruszył z powrotem do Paryża?

Francuz spojrział na oficera ze zdumieniem, uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Konie gotowe – powiedział wchodząc poczmistrz.

Służący potwierdził tę wiadomość.

– Zaraz – odpowiedział oficer – proszę wyjść na chwilę. – Poczmistrz i posługacz wyszli. Ja nie żartuję – mówił dalej po francusku – mogę panu dać dziesięć tysięcy, potrzebna mi jest tylko pańska nieobecność i pańskie dokumenty.

Mówiąc to otworzył szkatułkę i wyjął kilka paczek banknotów.

Francuz wytrzeszczył oczy. Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

– Moja nieobecność... moje dokumenty... – powtarzał ze zdumieniem – proszę, oto moje dokumenty... ale pan żartuje... na co panu moje dokumenty?

– Nic panu do tego. Pytam – zgadza się pan czy nie?

Francuz, wciąż jeszcze nie wierząc własnym uszom, podał swoje papiery młodemu oficerowi, który je szybko przejrzał.

– Pański paszport... – dobrze – list polecający, zaraz zobaczymy – świadectwo urodzenia, doskonale. No, niech pan bierze swoje pieniądze i jedzie z powrotem. Żegnam pana...

Francuz stał jak wryty.

Oficer zawrócił.

– Zapomniałem o najważniejszym: niech mi pan da słowo honoru, że wszystko to zostanie pomiędzy nami – słowo honoru...

– Daję słowo honoru – odpowiedział Francuz. – Ale moje dokumenty, co mam robić bez dokumentów?

– W najbliższym mieście oznajmi pan, że pana obrabował Dubrowski. Uwierzą panu i wydadzą potrzebne zaświadczenie. Żegnam, niech panu Bóg pozwoli jak najszybciej dojechać do Paryża i zastać mamę w zdrowiu.

Dubrowski wyszedł z pokoju, wsiadł do kolaski i popędził przed siebie.

Poczmistrz patrzył przez okno, a gdy kolaska odjechała, zwrócił się do żony z okrzykiem:

– Pachomowna, wiesz co? Przecież to był Dubrowski.

Poczmistrzowa pędem rzuciła się do okna, ale było już za późno – Dubrowski był już daleko. Zaczęła wymyślać mężowi:

– Bójże się Boga, Sidorycz, dlaczegoś mi przedtem o tym nie powiedział, spojrzalabym choć na Dubrowskiego, a teraz czekaj tu, człowieku, żeby znów kiedyś zajechał. Sumienia nie masz, doprawdy, nie masz sumienia!

Francuz stał jak wryty. Umowa z oficerem, pieniądze, wszystko to wydawało mu się snem. Lecz pliki banknotów, leżące w kieszeni, wymownie potwierdzały prawdziwość dziwnej przygody.

Postanowił wynająć konie do miasta. Woźnica powiózł go powoli i w nocy dowiózł się do miasta.

Nie dojeżdżając do rogatek, przy których zamiast wartownika stała rozwalona budka, Francuz kazał woźnicy zatrzymać się, wysiadł z bryczki i poszedł piechota – wyjaśniwszy woźnicy na migi, że bryczkę i walizkę daruje mu jako napiwek. Woźnica był tak samo zdumiony jego szczodrobliwością, jak sam Francuz propozycją Dubrowskiego. Lecz doszedłszy do wniosku, że Niemiec prawdopodobnie oszalał, woźnica podziękował mu gorliwym ukłonem i nie uważając za stosowne wjechać do miasta, skierował się do wiadomej sobie instytucji rozrywkowej, której właściciela znał dość dobrze. Spędził tam całą noc, a nazajutrz z rana trójką niezaprzęgniętych koni ruszył w powrotną drogę – bez bryczki i bez walizki, z napuchniętą twarzą i z zaczerwienionymi oczami.

Dubrowski zawładnąwszy papierami Francuza śmiało zjawił się, jak to już widzieliśmy, u Trojekurowa i zamieszkał w jego domu. Jakikolwiek były jego tajemne zamiary (poznamy je później), zachowanie jego nie wzbudzało żadnych ukrytych podejrzeń. Co prawda mało się zajmował wychowaniem małego Saszy, dawał mu całkowitą swobodę łobuzowania i niezbyt surowo żądał odrabiania lekcji, które zadawał tylko dla pozorów – za to bardzo pilnie śledził muzyczne postępy swojej uczennicy i często całymi godzinami przesiadywał z nią przy fortepianie. Wszyscy lubili młodego nauczyciela – Kiryła Pietrowicz za jego odwagę i zręczność na polowaniu, Maria Kiryłowna za bezgraniczną gorliwość i nieśmiałe zainteresowanie Saszą – za pobłażliwość na urwisostwa, domownicy – za dobroć i szczodrobliwość, wyraźnie niewspółmierną z jego stanem. On sam, jak się zdawało, przywiązany był do całej rodziny i uważał się już za jej członka.

Minął blisko miesiąc od chwili rozpoczęcia przez niego pracy nauczycielskiej aż do pamiętnego święta i nikt nie podejrzewał, że pod postacią skromnego młodego Francuza ukrywał się groźny rozbójnik, którego imię napawało lękiem wszystkich okolicznych ziemian. Przez cały ten czas Dubrowski nie ruszał się ze wsi Pokrowskoje, lecz słuch o jego rozbojach dzięki bujnej wyobraźni miejscowych obywateli nie ucichał, jednakże możliwe, że banda jego działała dalej pod nieobecność herszta.

Nocując w jednym pokoju z człowiekiem, którego uważał za swego osobistego wroga i za winowajcę wszystkich swych nieszczęść, Dubrowski nie mógł powstrzymać się od pokusy. Wiedział o istnieniu sakiewki i postanowił nią zawładnąć. Widzieliśmy, jak zaskoczył biednego Antoniego Pafnuticza swoją nieoczekiwaną przemianą z nauczyciela w zbójcę.

O dziewiątej rano goście, którzy nocowali we wsi Pokrowskoje, zebrali się kolejno w bawialni, gdzie kipiał już samowar, przy którym siedziała w porannym stroju Maria Kiryłowna, a Kiryła Pietrowicz w bajowym surducie i w rannych pantoflach popijał ze swej wielkiej filiżanki przypominającej kubek do płukania ust. Ostatni zjawił się Antoni Pafnuticz; był tak blady i wydawał się tak zdenerwowany, że przeraził wszystkich swoim widokiem, a Kiryła Pietrowicz zapytał go o zdrowie. Spicyn odpowiedział coś bez sensu, ze strachem spoglądając na nauczyciela, który jak gdyby nigdy nic siedział tuż obok. Po kilku minutach wszedł służący i oznajmił Spicynowi, że kolaska jego czeka przed domem. – Antoni Pafnuticz szybko się pożegnał i nie bacząc na namowy gospodarza pośpiesznie wyszedł z pokoju i natychmiast odjechał. Nikt nie rozumiał, co się z nim stało, a Kiryła Pietrowicz zdecydował, że na pewno się przejadł. Po herbacie i pożegnalnym śniadaniu reszta gości zaczęła się rozjeżdżać i wkrótce Pokrowskoje opustoszało; wszystko wróciło do zwykłego trybu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Minęło kilka dni, w czasie których nie wydarzyło się nic szczególnego. Życie mieszkańców wsi Pokrowskoje było jednostajne. Kiryła Pietrowicz codziennie wyjeżdżał na polowanie; Maria Kiryłowna spędzała czas na czytaniu, przechadzkach i lekcjach muzyki – szczególnie na lekcjach muzyki. Zaczynała rozumieć swoje uczucia i z pomimowolnym żalem uświadamiała sobie, że serce jej nie jest obojętne wobec uroków młodego Francuza. On zaś nie przekraczał granic szacunku i stateczności i w ten sposób uśmierzał jej dumę i lękliwe wahania. Z coraz większym i większym zaufaniem ulegała porywającemu przyzwyczajeniu. Nudziła się, gdy nie było Deforge'a, w jego obecności stale się nim zajmowała, w każdej sprawie chciała znać jego zdanie i zgadzała się z nim zawsze. Zapewne, nie była jeszcze zakochana, lecz pierwsza przypadkowa trudność lub nagłe przeciwieństwo losu musiały rozpałcić w jej sercu płomień namiętności.

Pewnego razu, gdy przysłała do salonu, gdzie czekał na nią nauczyciel, Maria Kiryłowna ze zdumieniem zauważyła malujące się na bladej jego twarzy zmieszanie. Otworzyła fortepian, prześpiewała kilka taktów, lecz Dubrowski pod pozorem bólu głowy przeprosił ją, przerwał lekcję i składając nuty podał jej ukradkiem kartkę. Maria Kiryłowna przyjęła ją bez zastanowienia i w tej samej chwili pożałowała tego, ale Dubrowskiego nie było już w salonie. Maria Kiryłowna przeszła do swego pokoju, rozwinęła kartkę i przeczytała następujące słowa:

„Niech pani będzie dziś o siódmej w altance nad strumieniem. – Muszę z panią pomówić”.

Ciekawość jej była mocno poruszona. Od dawna już oczekiwała jego wyznania, pragnąc go i lękając się jednocześnie. Sprawiłoby jej przyjemność usłyszeć potwierdzenie tego, czego się domyślała, lecz czuła, że byłoby dla niej nieprzyzwoitością słuchać wyznań człowieka, który ze względu na swój stan nie mógł nigdy mieć nadziei na jej rękę. Postanowiła iść na spotkanie, co do jednego tylko się wahała: w jaki sposób ma przyjąć wyznanie nauczyciela, czy z arystokratycznym oburzeniem, czy z zapewnieniami przyjaźni, czy z wesołymi żartami, czy też z milczącym współczuciem. Jednocześnie co chwila spoglądała na zegar. Zapadł zmierzch, przyniesiono świece, Kiryła Pietrowicz siadł do bostona z przybyłymi sąsiadami;

zegar w stołowym wybił trzy kwadransy na siódmą i Maria Kiriłowna wyszła na ganek, rozejrzała się na wszystkie strony i pobiegła do ogrodu.

Noc była ciemna, niebo okryte chmurami – nie było nic widać w odległości dwóch kroków, ale Maria Kiriłowna szła w ciemności znajomymi ścieżkami i po chwili znalazła się przy altance; zatrzymała się tu, aby odetchnąć i zjawić się przed Deforgem obojętnie i bez pośpiechu. Lecz Deforge stał już za nią.

– Dziękuję – rzekł cichym i smutnym głosem – że nie odmówiła pani mojej prośbie. Byłbym zrozpaczony, gdyby się pani nie zgodziła.

Maria Kiriłowna odpowiedziała z góry przygotowanym zdaniem.

– Mam nadzieję, że pan nie zmusi mnie, abym pożałowała swojej pobłażliwości.

Dubrowski milczał i wydało się, że stara się zebrać odwagę.

– Okoliczności wymagają... muszę panią opuścić – rzekł wreszcie. – Pani zapewne wkrótce usłyszysz... Lecz przed rozstaniem winien jestem pani wyjaśnienie...

Maria Kiriłowna nie odpowiadała. W słowach tych widziała przedmowę do oczekiwanego wyznania.

– Nie jestem tym, za kogo mnie pani bierze – mówił dalej pochyliwszy głowę. – Nie jestem Deforgem, jestem Dubrowski.

Maria Kiriłowna krzyknęła.

– Niech się pani nie boi, na miłość boską, pani nie powinna lękać się mego imienia. Tak, jestem tym nieszczęśliwym, którego pani ojciec pozbawił kęsa chleba, wypędził z ojcowskiego domu i zmusił do rabunku na traktach. Ale pani nie powinna się mnie bać. Ani o siebie, ani o niego. Wszystko skończone. – Wybaczyłem mu. Niech pani posłucha, pani go ocaliła. Pierwszego mego krwawego czynu miałem dokonać na nim. Krążyłem koło jego domu planując, gdzie ma wybuchnąć pożar, którędy mam wejść do jego sypialni, jak przeciąć mu wszystkie drogi ucieczki. Lecz w tejże chwili przeszła pani koło mnie jak niebiańskie widzenie i serce moje uciszyło się – pojąłem, że dom, gdzie przebywasz, jest święty, że ani jedna istota związana z panią więzami krwi nie może być przeze mnie przeklęta. Wyrzekłem się zemsty jak szaleństwa. Całymi dniami błądziłem wokoło ogrodów w Pokrowskoje w nadziei, że ujrzę z daleka pani białą suknię. W pani nieostrożnych przechadzkach śledziłem cię przekradając się od krzaka do krzaka, szczęśliwy na myśl, że cię chronię, że nie ma dla ciebie niebezpieczeństwa tam, gdzie ja przebywam potajemnie. Wreszcie nadarzyła się okazja. Osiedliłem się w pani domu. Te trzy tygodnie były dla mnie dniami szczęścia. Wspomnienie ich będzie pociechą w moim smutnym życiu...Dziś otrzymałem wiadomość, po której nie mogę już dłużej tu pozostawać. Rozstaję się z panią dzisiaj... za chwilę... lecz

przedtem musiałem pani wyznać swoją tajemnicę, abyś mnie nie przeklinała i mną nie gardziła. Niech pani pomyśli niekiedy o Dubrowskim. Niech pani wie, że zrodzony był dla innego losu, że dusza jego umiała cię kochać, że nigdy...

Wtem rozległ się lekki gwizd – Dubrowski zamilkł... Schwycił ją za rękę, przycisnął do płonących ust. Gwizd się powtórzył.

– Żegnaj – powiedział Dubrowski – wzywają mnie. Każda chwila może mnie zgubić.

Odszedł. Maria Kiryłowna stała bez ruchu. Dubrowski wrócił i znów chwycił ją za rękę.

– Jeżeli kiedykolwiek – rzekł do niej czułym i wzruszonym głosem – jeżeli kiedykolwiek spadnie na panią nieszczęście i nie będziesz od nikogo już oczekiwała pomocy ani opieki – czy obiecujesz mi zwrócić się wówczas do mnie, wszystkiego żądać ode mnie – dla swego ratunku? Czy przyrzekasz mi, pani, że nie wzgardzisz moim oddaniem?

Maria Kiryłowna płakała w milczeniu. Gwizd rozległ się po raz trzeci.

– Pani mnie narazi na zgubę! – zawołał Dubrowski. – Nie rozstanę się z panią, póki mi nie dasz odpowiedzi – czy przyrzeka mi pani, czy nie?

– Przyrzekam – szepnęła biedna dziewczyna.

Wzburzona spotkaniem z Dubrowskim, Maria Kiryłowna wracała z ogrodu. Wydało jej się, że cała służba się rozbiegła – dom był poruszony, na podwórzu było dużo ludzi, przed gankiem stała trójka koni – już z dala usłyszała głos Kiryły Pietrowicza i pospieszyła do mieszkania w obawie, aby nie zauważono jej nieobecności. W salonie spotkał ją Kiryła Pietrowicz, goście otaczali sprawnika, naszego znajomego, i zasypywali go pytaniami. Sprawnik, w podróżnym stroju, uzbrojony od stóp do głowy, odpowiadał im z miną tajemniczą i zaambarasowaną.

– Gdzie byłaś, Masza – zapytał Kiryła Pietrowicz – czyś nie spotkała mr Deforge'a?

Masza ledwo zdołała odpowiedzieć, że nie.

– Wyobraź sobie – ciągnął dalej Kiryła Pietrowicz – sprawnik przyjechał go aresztować i zapewnia mnie, że to jest sam Dubrowski.

– Rysopis się zgadza, wasza ekscelencjo – wtrącił z szacunkiem sprawnik.

– Ej, bracie – przerwał mu Kiryła Pietrowicz – wynoś się, sam już wiesz dokąd, z tym swoim rysopisem. Ja ci mojego Francuza nie wydam, póki sam całej sprawy nie rozpatrzę. Jak można wierzyć na słowo Antoniemu Pafnuticzowi, tchórzowi i kłamcy? Uroiło mu się, że nauczyciel chciał go obrabować. No to dlaczego od razu z rana nie powiedział mi o tym ani słowa?

– Francuz zastraszył go, wasza ekscelencjo – odpowiedział sprawnik – i kazał mu przysiąc, że będzie milczał...

– Bzdury – odrzekł Kiryła Pietrowicz – zaraz ja tu wszystko wyklaruję. Gdzie jest nauczyciel? – zapytał służącego, który właśnie wszedł.

– Nigdzie go nie można znaleźć – odpowiedział służący.

– To go odszukać – zawołał Trojekurow, którego zaczęły ogarniać wątpliwości. – Pokaż mi swój zachwalany rysopis – powiedział do sprawnika, który natychmiast podał mu papier.

– Hm, hm – dwadzieścia trzy lata, wzrost średni, twarz owalna, brody nie nosi, oczy ciemne... Niby tak, ale to jeszcze niczego nie dowodzi. – Co z nauczycielem?

– Nie można go znaleźć – brzmiała po raz drugi odpowiedź.

Kiryła Pietrowicz zaczął się niepokoić... Maria Kiryłowna była na wpół żywa.

– Jesteś blada, Masza – zauważył ojciec – przestraszyli cię.

– Nie, ojczulku – odpowiedziała Masza – głowa mnie boli.

– Idź, Masza, do swego pokoju i nie przejmuj się. – Masza pocałowała ojca w rękę i szybko wyszła do swego pokoju, tam rzuciła się na łóżko i w ataku hysterii wybuchnęła głośnym płaczem. Zbiegły się pokojówki, rozebrały ją, z wielkim trudem zdołały jakoś uspokoić przy pomocy zimnej wody i soli orzeźwiających, położyły ją do łóżka i Masza zapadła w sen.

Tymczasem Francuza nie można było znaleźć. Kiryła Pietrowicz chodził tam i z powrotem po salonie, groźnie pogwizdując *Grom zwycięstwa się rozlega*. Goście szeptali pomiędzy sobą, wydawało się, że sprawnik wyszedł na durnia – Francuza nie znaleziono. Prawdopodobnie, ostrzeżony, zdążył się ukryć. Lecz kto go uprzedził i w jaki sposób – pozostawało tajemnicą.

Wybiła godzina jedenasta, ale nikt nawet nie pomyślał o śnie. Wreszcie Kiryła Pietrowicz zwrócił się z gniewem do sprawnika:

– No cóż? – przecież nie będziesz tu siedział do świtu, mój dom to nie karczma. Ze swoim sprytem nie złapiesz Dubrowskiego, jeżeli to jest nawet Dubrowski. Ruszaj swoją drogą i bądź na przyszłość zręczniejszy. A i wam też czas do domu – mówił zwracając się do gości. – Każcie państwo zakładać konie – chcę iść spać.

Tak nieuprzejmie rozstał się Trojekurow ze swoimi gośćmi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Minął pewien czas, nie zaznaczając się żadnym szczególnym wypadkiem. Z początkiem jednak następnego lata zaszło dużo zmian w życiu rodzinnym Kiryły Pietrowicza,

W odległości trzydziestu wiorst leżał bogaty majątek księcia Wierejskiego. Książę przez długi czas przebywał w obcych krajach, wszystkimi jego majątkościami zarządzał pewien dymisjonowany major i mieszkańcy wsi Pokrowskoje nie utrzymywali żadnych stosunków z Arbatowem. Lecz pod koniec maja książę wrócił z zagranicy i przyjechał do swojej wsi, której dotąd jeszcze nigdy nie widział. Przyzwyczajony do życia światowego, do rozrywek, nie mógł wytrzymać w samotności i na trzeci dzień po swoim przyjeździe udał się na obiad do Trojekurowa, którego znał już od dawna.

Książę miał około pięćdziesięciu lat, ale wydawał się znacznie starszy. Wszelakiego rodzaju nadużycia zniszczyły zdrowie księcia i wyryły na nim niezatarte piętno. Pomimo to miał przyjemną i niepospolitą postać, a ogłada towarzyska sprawiała, że był uprzejmy, zwłaszcza wobec kobiet. Odczuwał nieustanną potrzebę rozrywek i nieustannie się nudził. Kiryła Pietrowicz był niezmiernie zadowolony z jego wizyty, uważając ją za oznakę szacunku, pochodzącą od człowieka, który znał wielki świat; zaczął go swoim zwyczajem raczyć przeglądem swych budynków gospodarczych i zaprowadził do psiarni. Lecz książę o mało nie udusił się w psiej atmosferze i szybko wyszedł przyciskając do nosa uperfumowaną chusteczkę. Nie spodobał mu się również stary park ze strzyżonymi lipami, czworokątnym stawem i równymi alejami; książę lubił parki angielskie i tak zwaną przyrodę, pomimo to chwalił wszystko i wyrażał swoje zachwyty. Przyszedł służący meldując, że podano do stołu. Poszli na obiad. Książę, zmęczony przechadzką, lekko utykał na nogę i zaczął już żałować swej wizyty.

Lecz w salonie spotkała ich Maria Kiryłowna i starego donzuana zdumiała jej uroda. Trojekurow posadził gościa obok córki – książę, ożywiony jej sąsiedztwem, był wesoły i swymi interesującymi opowiadaniem zdołał kilka razy zwrócić na siebie jej uwagę. Po obiedzie Kiryła Pietrowicz zaproponował konną przejażdżkę, lecz książę wymówił się wskazując na swe aksamitne buty – i żartując ze swej podagry – wybrał raczej spacer linijką,

aby nie rozłączać się z miłą sąsiadką. Linijkę zaprzągnięto. Starsi panowie i Masza usadowili się i pojechali. Rozmowa się nie przerywała. Maria Kiryłowna z przyjemnością słuchała przypochlebnych i wesołych słówek światowego bywalca, gdy naraz Wierejski zwracając się do Kiryły Pietrowicza zapytał, co znaczy ten spalony budynek i do kogo należy? – Kiryła Pietrowicz zachmurzył się; wspomnienia, jakie nasuwał mu spalony dwór, nie należały do najprzyjemniejszych. Odpowiedział, że ziemia jest teraz jego własnością, a przedtem należała do Dubrowskiego.

– Do Dubrowskiego – powtórzył Wierejski jak to, do tego słynnego rozbójnika?

– Do jego ojca – odpowiedział Trojekurow – ale i z jego ojca też był porządny zbój.

– Gdzie się też podział nasz Rinaldo? Czy żyje, czy go już złapali?

– Żyje i jest na wolności – i póki sprawnicy będą u nas trzymali ze złodziejami, nikt go nie schwyci; przy okazji, książę, przecież Dubrowski był u pana w Arbatowie?

– Tak, w zeszłym roku zdaje się coś tam spalił czy obrabował... Nieprawda, Mario Kiryłowno, że byłoby interesujące bliżej poznać się z tym romantycznym bohaterem?

– Gdzie tam interesujące! – rzekł Trojekurow – to starzy znajomi – przez całe trzy tygodnie uczył ją muzyki i dzięki Bogu nic nie wziął za lekcje.

Tu Kiryła Pietrowicz zaczął opowiadać o swoim nauczycielu-Francuzie. Maria Kiryłowna siedziała jak na szpilkach. Wierejski wysłuchał z wielką uwagą stwierdził, że wszystko to jest bardzo dziwne i zmienił temat rozmowy. Po powrocie kazał podać swoją karetę i pomimo usilnych próśb Kiryły Pietrowicza, aby został na noc, odjechał natychmiast po podwieczorku. Przedtem jednak zaprosił do siebie Kiryłę Pietrowicza wraz z Marią Kiryłowną – i dumny Trojekurow przyrzekł mu odwiedziny, bowiem biorąc pod uwagę godność książęcą, dwie gwiazdy i trzy tysiące dusz poddanych w rodowym majątku, uważał poniekąd księcia Wierejskiego za równego sobie.

W dwa dni po tej wizycie Kiryła Pietrowicz wyruszył wraz córką w gościnę do księcia Wierejskiego. Gdy podjeżdżał do Arbatowa, pomimo woli podziwiał czyste i wesołe chaty chłopskie i murowany dwór zbudowany w stylu zamków niemieckich. Przed domem rozpościerała się ciemnozielona łąka, na której pasły się dzwoniąc dzwoneczkami szwajcarskie krowy. Obszerny park otaczał wokoło dom. Gospodarz powitał gości przed gankiem i podał rękę młodej dziewczynie; weszli do wspaniałej sali, gdzie stół był nakryty na trzy osoby. Książę podprowadził gości do okna, z którego roztaczał się wspaniały widok. Wołga przepływała pod oknami, sunęły po niej wyładowane barki pod naciągniętymi żaglami i szybko przepływały rybackie łódki, tak obrazowo przezwane duszogubkami. Za rzeką rozciągały się wzgórza i pola, kilka wsi ożywiało okolicę. Później zajęli się oglądaniem

galerii obrazów, które ksiązę zakupił w obcych krajach. Ksiązę tłumaczył Marii Kiryłownie ich różnorodną treść, historię malarstwa, wskazywał na zalety i braki obrazów, mówił o nich nie umownym językiem pedantycznego znawcy, lecz z uczuciem i wyobraźnią. Maria Kiryłowną słuchała go z przyjemnością. Zasiadli do stołu. Trojekurow w pełni ocenił zalety win swojego amfitriona i kunszt jego kucharza, a Maria Kiryłowna nie odczuwała najmniejszego zażenowania czy przymusu w rozmowie z człowiekiem, którego widziała dopiero po raz drugi w życiu. Po obiedzie gospodarz zaproponował gościom przechadzkę po parku. Kawę pili w altanie na brzegu szerokiego, usianego wyspami jeziora. Naraz rozległy się dźwięki muzyki i łódka o sześciu wiosłach przybiła do samej altany. Popłynęli po jeziorze opodal wysp, zwiedzali niektóre z nich – na jednej widzieli marmurowy posąg, na drugiej samotną pieczarę, na trzeciej pomnik z tajemniczym napisem, który wzbudzał w Marii Kiryłownie dziewczęcą ciekawość, niezupełnie zaspokojoną uprzejmymi niedopowiedzeniami księcia. Czas upływał niepostrzeżenie – zaczęło się zmierzchać. Ksiązę tłumacząc, że już rosa i wilgoć, dał hasło do powrotu. W domu oczekiwał ich samowar. Ksiązę prosił Marię Kiryłownę, by zechciała gospodarzyć w domu starego kawalera. Masza nalewała herbatę słuchając niewyczerpanych opowiadań uprzejmego gaduły. Wtem rozległ się wystrzał i rakietą rozjaśniła niebo. Ksiązę podał Marii Kiryłownie szal i zaprosił ją i Trojekurowa na balkon. Przed domem w ciemności wybuchły różnobarwne ognie, zawirowały, uniosły się w górę w postaci kłosów, palm, fontann, sypały się jak deszcz i jak gwiazdy, gasły i wystrzelały na nowo. Maria Kiryłowna bawiła się jak dziecko. Ksiązę Wierejski cieszył się z jej zachwyty, a Trojekurow był nadzwyczaj zadowolony, bowiem brał *tous les frais*¹¹ księcia za chęć przypodobania mu się i za oznakę szacunku.

Kolacja w niczym nie ustępowała obiadowi. Goście udali się do przeznaczonych dla nich pokojów, a nazajutrz rano rozstali się z uprzejmym gospodarzem, wzajemnie sobie obiecując, że się wkrótce zobaczą.

¹¹ Wszystkie wysiłki.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Maria Kiryłowna siedziała w swym pokoju przy otwartym oknie haftując na krosnach. Nie myliła jedwabi na wzór kochanki Konrada, która w miłosnym roztargnieniu wyhaftowała różę zielonym jedwabiem. Pod jej igłą kanwa powtarzała bez błędu wzory rysunku, choć myśli jej, zbyt odległe, nie podążały za robotą.

Nagle przez okno cicho przesunęła się ręka, ktoś położył list na krosnach i ukrył się, zanim Maria Kiryłowna zdążyła się opamiętać. W tej samej chwili do pokoju wszedł służący i wezwał ją do Kiryły Pietrowicza. Z drzeniem ukryła list pod szalem i pośpieszyła do gabinetu ojca.

Kiryła Pietrowicz nie był sam. Siedział u niego książę Wierejski. Na widok Marii Kiryłowny książę wstał i uklonił się jej z niezwykłym dla niego pomieszaniem.

– Chodź tu, Masza – rzekł Kiryła Pietrowicz – powiem ci nowinę, która, mam nadzieję, cię ucieszy. Oto twój narzeczony, książę oświadczył się o twoją rękę.

Masza osłupiała, twarz jej okryła śmiertelna błądź. Milczała. Książę podszedł do niej, ujął ją za dłoń i ze wzruszeniem zapytał, czy zgadza się uczynić go szczęśliwym. Masza milczała.

– Zgadza się, wiadomo, że się zgadza – powiedział Kiryła Pietrowicz – czyż nie wiesz, książę: dziewczynie zawsze trudno wypowiedzieć to słowo. No, dzieci, pocałujcie się i bądźcie szczęśliwi.

Masza stała bez ruchu, stary książę pocałował ją w rękę, naraz po bladej jej twarzy spłynęły łzy. Książę z lekka się zachmurzył.

– Idź już, idź, idź – rzekł Kiryła Pietrowicz – otrzymaj łzy i wróć do nas wesolutka. One wszystkie płaczą przy zaręczynach – rzekł zwracając się do Wierejskiego – taki już mają zwyczaj... A teraz, książę, pomówmy rzeczowo, to znaczy o posagu.

Maria Kiryłowna skwapliwie skorzystała z pozwolenia ojca. Pobiegnęła do swego pokoju, zamknęła się na klucz i widząc się już w wyobraźni żoną starego księcia, dała upust łzom; wydał jej się naraz ohydny i nienawistny – małżeństwo przerażało ją jak katowski miecz, jak grób... „Nie, nie – powtarzała z rozpaczą – raczej umrzeć, raczej iść do klasztoru, raczej

wyjść za Dubrowskiego.” A wtedy przypomniał jej się list, zaczęła go chciwie czytać przeczuwając, że może być od niego. W istocie, list był od Dubrowskiego i zawierał tylko następujące słowa:

„Wieczorem o dziesiątej na dawnym miejscu.”

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Jaśniał księżyc. Czerwcową noc była cicha, z rzadka tylko unosił się wietrzyk i lekki szelest przebiegał po całym ogrodzie.

Jak lekki cień zbliżyła się młoda dziewczyna do miejsca wyznaczonego spotkania. Nie dostrzegając jeszcze nikogo, gdy nagle spoza altany stanął przed nią Dubrowski.

– Wiem wszystko – powiedział do niej cichym i smutnym głosem. – Niech pani przypomni sobie swoją obietnicę.

– Proponuje mi pan opiekę – odpowiedziała Masza – ale niech się pan nie gniewa, ta opieka mnie przeraża. W jaki sposób okaże mi pan pomoc?

– Mógłbym wybawić panią od nienawistnego człowieka.

– Na miłość boską, niech go pan nie rusza, jeżeli pan mnie kocha, niech się go pan nie waży tknąć – nie chcę być przyczyną jakiejś okropności...

– Nie uczynię mu żadnej krzywdy, pani wola jest dla mnie święta. Pani będzie zawdzięczała życie. Nigdy zbrodnia nie zostanie dokonana w pani imieniu. Pani musisz być czysta nawet w moich przestępstwach. Ale jakże ocalę cię od okrutnego ojca?

– Jest jeszcze nadzieja, wierzę, że wzruszę go moimi łzami i rozpaczą. Jest uparty, ale przecież mnie kocha.

– Niech się pani nie spodziewa na próżno: w tych łzach ujrzy tylko zwykły lęk i wstręt, jaki odczuwają wszystkie młode dziewczęta, gdy wychodzą za mąż nie z namiętności, lecz z rozsądnego wyrachowania. Co będzie, jeżeli sobie uroi, aby panią uszczęśliwić wbrew twjej woli; jeżeli gwałtem zawiozą cię do ślubu, aby na wieki zdać twój los pod władzę starego męża...

– A wtedy, wtedy trudno – niech pan się zjawi po mnie – zostanę pańską żoną.

Dubrowski zadrżał – blada jego twarz okryła się purpurowym rumieńcem i w tej samej chwili stała się bledsza niż przedtem. Pochylił głowę – milczał długo.

– Niech pani skupi całą swoją wolę, niech pani błaga ojca, rzuci mu się do nóg, odmaluje mu całą okropną przyszłość, twoją młodość więdnącą u boku słabego, rozpustnego starca, niech pani zdecyduje się na okrutne wyjaśnienie: powiedz, że jeżeli będzie nieubłagany, to...

to znajdziesz straszną obronę... powiedz, że bogactwo nie da ci ani chwili szczęścia; przepych zadowala jedynie nędzę, i to też na jedną chwilę, z braku przyzwyczajenia; niech pani nie ustaje w prośbach, nie lęka się jego gniewu ani gróźb, póki będzie choć cień nadziei, na miłość boską, niech pani nie ustaje... Jeśli zaś nie będzie już innego sposobu...

Tu Dubrowski zasłonił twarz rękami, wydawało się, że traci oddech. Masza płakała...

– Nieszczęsny, nieszczęsny mój los – rzekł wzdychając gorzko Dubrowski. – Za panią oddałbym życie. Było dla mnie upojeniem widzieć cię z daleka, dotknąć twej ręki. A kiedy zjawia się dla mnie możliwość, by przycisnąć cię do wzburzonego serca i powiedzieć: aniele, umrzyjmy! nieszczęsny, muszę bronić się przed szczęściem – muszę oddalać je ze wszystkich sił... nie śmiem paść do twoich nóg, dziękować niebu za niepojętą, niezasłużoną nagrodę. O! jak wonieniem go nienawidzieć – lecz czuję – teraz w sercu moim nie ma miejsca dla nienawiści.

Łagodnie objął jej wysmukłą kibić i łagodnie przyciągnął ją do serca. Pochyliła ufnie głowę na ramię młodego zbójcy. Oboje milczeli.

Czas biegł.

– Już pora – rzekła wreszcie Masza.

Dubrowski jak gdyby ocknął się ze snu. Ujął jej rękę i włożył jej na palec pierścionelek.

– Jeżeli pani postanowi uciec się do mnie – powiedział – to niech pani przyniesie pierścionelek tutaj, opuści go w dziuplę tego dębu – będę już wiedział, co mam uczynić.

Dubrowski ucałował jej dłoń i znikł pomiędzy drzewami.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Oświadczyzny księcia Wierejskiego nie były już tajemnicą dla sąsiadów – Kiryła Pietrowicz przyjmował gratulacje, przygotowywał wesele. Masza z dnia na dzień odkładała ostateczną odpowiedź. Tymczasem wobec starego narzeczonego zachowywała się w sposób zimny i wymuszony. Książę nie troszył się o to. O miłość nie dbał, zadowolony z milczącej zgody.

A czas płynął. Wreszcie Masza postanowiła działać i napisała list do księcia Wierejskiego; starała się wzbudzić w jego sercu uczucie wielkoduszności, szczerze wyznała, że nie czuje do niego najmniejszego przywiązania, błagała, aby wyrzekł się jej ręki i sam obronił ją przed władzą ojca. Wręczyła ukradkiem list księciu Wierejskiemu, który przeczytał go w samotności i bynajmniej nie wzruszył się szczerością swej narzeczonej. Przeciwnie, doszedł do wniosku, że musi przyspieszyć ślub i w tym celu uznał za stosowne pokazać list przysłemu teściowi.

Kiryła Pietrowicz rozwścieklił się; książę zaledwo zdołał go namówić, aby nie dawał Maszy po sobie poznać, że wie o jej liście. Kiryła Pietrowicz zgodził się nie wspominać jej o tym, ale postanowił nie tracić czasu i wyznaczyć ślub zaraz na dzień następny. Książę uznał to za bardzo rozsądne, poszedł do narzeczonej, oświadczył jej, że list bardzo go zasmucił, ale że ma nadzieję z czasem zdobyć sobie jej przywiązanie, że myśl o jej utracie jest dlań zbyt ciężka i że nie jest zdolny zgodzić się na wyrok śmierci na samego siebie. Po czym z szacunkiem ucałował ją w rękę i wyjechał nie mówiąc jej nic o postanowieniu Kiryły Pietrowicza.

Zaledwie jednak zdążył wyjechać z podwórza, gdy wszedł ojciec i bez ogródek oznajmił jej, aby była gotowa na dzień jutrzejszy. Maria Kiryłowna, wzburzona już wyjaśnieniami księcia Wierejskiego, zalała się łzami i rzuciła się do nóg ojca.

– Tatusiu – zawołała żalonym głosem – tatusiu, nie przywódź mnie do zguby, nie kocham księcia i nie chcę być jego żoną...

– A cóż to znaczy – rzekł z gniewem Kiryła Pietrowicz – do tej pory milczałaś i zgadzałaś się, a teraz, gdy wszystko jest postanowione, przyszło ci do głowy kapryścić i odmawiać. Nie rób fochów, w ten sposób nic ze mną nie wygrasz.

– Nie przywódcz mnie do zguby – powtarzała biedna Masza – za co mnie wypędzasz, oddajesz człowiekowi niekochanemu, czyżbyś miał mnie dosyć?

Chcę zostać z tobą po dawnemu. Ojczulku, będzie ci smutno beze mnie, będzie ci jeszcze smutniej, gdy pomyślisz, że jestem nieszczęśliwa. Tatusiu, nie zmuszaj mnie, nie chcę wychodzić za małż...

Kiryła Pietrowicz był wzruszony, ale ukrył zmieszanie i odepchnąwszy córkę, rzekł surowo:

– Wszystko to bzdury, czy słyszysz? Wiem lepiej, czego ci potrzeba do szczęścia. Nic ci nie pomogą łzy, pojutrze odbędzie się ślub.

– Pojutrze – wykrzyknęła Masza – o mój Boże! Nie, nie to niemożliwe, to się nie stanie. Ojczy, posłuchaj, jeżeli już postanowiłeś mnie zgubić, to znajdę obrońcę o którym nawet trudno ci pomyśleć, zobaczysz, sam ulęknieś się tego, do czego mnie doprowadzasz...

– Co, co? – rzekł Trojekurow – groźby? śmiesz mi grozić, zuchwała dziewczyno! – A czy ty wiesz, że zrobię z tobą to, czego sobie nawet nie wyobrażasz. Śmiesz mnie straszyć obrońcą. Zobaczymy, kto będzie tym obrońcą!

– Władimir Dubrowski – odpowiedziała Masza w rozpacz.

Kiryła Pietrowicz pomyślał, że oszalała i patrzył na nią ze zdumieniem.

– Dobrze – powiedział po chwili milczenia – czekaj sobie na jakiego chcesz wybawcę, a tymczasem siedź w tym pokoju, nie wyjdiesz stąd do samego ślubu. – Z tymi słowy Kiryła Pietrowicz wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Długo płakała biedna dziewczyna, wyobrażając sobie to wszystko, co ją oczekuje. Burzliwa rozmowa sprawiła jej jednak ulgę, tak że mogła spokojnie myśleć o swej przyszłości i o tym, co miała przedsięwziąć. Najważniejszym dla niej zadaniem było uniknąć nienawistnego małżeństwa; los żony bandyty wydawał się Maszy rajem w porównaniu z tym losem, jaki jej szykowano. Spojrzała na pierścionek pozostawiony przez Dubrowskiego. Gorąco pragnęła spotkać się z nim sam na sam i jeszcze raz przed decydującą chwilą zasięgnąć jego rady. Przeczucie mówiło jej, że wieczorem spotka Dubrowskiego w parku w pobliżu altany; postanowiła tam pójść i czekać na niego, jak tylko zacznie się zmierzchać. Zmrok zapadł. Masza przygotowała się do wyjścia, ale drzwi były zamknięte na klucz. Pokojowa spoza drzwi odpowiedziała, że Kiryła Pietrowicz kazał jej nie wypuszczać. Była uwięziona. Głęboko dotknięta, siadła pod oknem i aż do późnej nocy siedziała nie rozbierając

się, patrząc bez ruchu na ciemne niebo. O świcie zaczęła drzemać, lecz jej lekki sen mąciły smutne zwidzenia, tak że już promienie wschodzącego słońca zdołały ją rozbudzić.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Gdy się obudziła, z pierwszą zaraz myślą uświadomiła sobie całą grozę sytuacji. Masza zadzwoniła, weszła dziewczyna i na jej pytanie odpowiedziała, że Kiryła Pietrowicz wieczorem pojechał do Arbatowa i wrócił późno, że wydał surowy rozkaz, aby nie wypuszczać jej z pokoju i uważać, aby nikt z nią nie rozmawiał, że przy tym nie widać żadnych szczególnych przygotowań do ślubu prócz tego, iż popowi nakazano, aby pod żadnym pozorem nie opuszczał wsi. Opowiedziawszy te nowiny dziewczyna zostawiła Marię Kiryłownę samą i znowu drzwi zamknęła.

Słowa służącej wzbudziły zawziętość w młodej pustelnicy; mózg jej się burzył, krew wrzała; postanowiła powiadomić o wszystkim Dubrowskiego i zaczęła szukać sposobności, ażeby posłać pierścień do dziupli umówionego dębu.

Właśnie w tej chwili o okno jej uderzył kamyk, szkło zabrzęczało – i Maria Kiryłowna wyjrawszy na dwór dostrzegła małego Saszę, który dawał jej tajemnicze znaki. Masza знаła przywiązanie brata i ucieszyła się z jego obecności. Otworzyła okno.

– Dzień dobry, Sasza – rzekła – po co mnie wołasz?

– Przyszedłem, siostrzyczko, dowiedzieć się, czy czegoś ci nie potrzeba. Tatuś gniewa się i zabronił całemu domowi rozmawiać z tobą. Ale każ mi zrobić, co chcesz, a ja wszystko dla ciebie zrobię.

– Dziękuję ci, mój miły Sasza, posłuchaj: czy znasz stary dąb z dziuplą przy altanie?

– Znam, siostrzyczko.

– No to, jeżeli mnie kochasz, pobiegnij tam jak najszybciej i wrzuć do dziupli ten oto pierścień, a uważaj, aby cię nikt nie widział.

Z tymi słowy rzuciła mu pierścionek i zamknęła okno.

Chłopiec podniósł pierścionek, pobiegł co sił w nogach i w trzy minuty znalazł się pod umówionym drzewem. Zatrzymał się zadyszany, rozejrzał się na wszystkie strony i wpuścił pierścionek do dziupli. Załatwiwszy pomyślnie polecenie, chciał natychmiast donieść o tym Marii Kiryłownie, gdy naraz rudy i zezowaty, obdarty chłopak wybiegł zza altany, skoczył do

dębu i wsadził rękę w dziuplę. Sasza szybciej niż wiewiórka rzucił się do niego i chwycił go obu rękami.

– Co tutaj robisz? – zapytał groźnie.

– A co ci do tego? – odpowiedział chłopak starając mu się wyrwać.

– Rzuć ten pierścionek, rudy zajacu – zawołał Sasza – bo jak nie, to zobaczysz...

Tamten zamiast odpowiedzi uderzył go pięścią w twarz, ale Sasza nie wypuścił jeńca i zawołał ze wszystkich sił:

– Złodziej, złodziej! na pomoc...

Chłopak starał się od niego odczepić. Był on prawdopodobnie o dwa lata starszy od Saszy i silniejszy od niego, ale Sasza był bardziej zwinny. Zmagali się przez kilka minut, wreszcie rudy chłopak wziął górę. Powalił Saszę na ziemię i chwycił go za gardło.

W tej samej jednak chwili silna dłoń wczepiła się w jego rude, szczeciniaste włosy i ogrodnik Stiepan uniósł go na pół arszyna nad ziemię...

– Ach, ty ryża bestio – mówił ogrodnik – jak śmiesz bić małego panicza...

Sasza zdążył już skoczyć na nogi i poprawić na sobie ubranie.

– Chwyciłeś mnie pod ramiona – powiedział – gdyby nie to, nigdy byś mnie nie przewrócił. Oddaj natychmiast pierścionek i wynoś się.

– Jeszcze by też – odpowiedział rudy – i nagle, obróciwszy się na miejscu, wyzwolił swoją czuprynę z ręki Stiepana. Rzucił się do ucieczki, ale Sasza go dopędził, uderzył w plecy i chłopak upadł z całego rozpędu; ogrodnik znowu schwycił rudego i związał paskiem.

– Oddaj pierścionek! – zawołał Sasza.

– Zaczekaj, paniczu – rzekł Stiepan – zaprowadzimy go na rozmowę do rządcy.

Ogrodnik poprowadził jeńca do dworu, a Sasza towarzyszył im spoglądając niespokojnie na swoje podarte i zazielenione spodnie. Naraz cała trójka natknęła się na Kiryłę Pietrowicza, który siedł na przegład swej stajni.

– A to co? – zapytał Stiepana Kiryła Pietrowicz.

Stiepan w krótkich słowach opisał całe zajście.

Kiryła Pietrowicz wysłuchał go uważnie.

– Ty łobuzie – rzekł zwracając się do Saszy – o co się z nim pobiliś?

– On ukraść z dziupli pierścionek, tatusiu, niech mu tatuś każe oddać pierścionek.

– Jaki pierścionek, z jakiej dziupli?

– Bo mnie Maria Kiryłowna... bo mi ten pierścionek...

Sasza zmieszał się i zapłatał. Kiryła Pietrowicz zasepił się i rzekł kiwając głową:

– Tu jest wmieszana Maria Kiryłowna, przyznaj mi się zaraz do wszystkiego, bo jak nie, to cię tak spiorę różgą, że cię najbliżsi nie poznają.

– Słowo honoru, tatusiu, ja, tatusiu... mnie Maria Kiryłowna nic nie kazała, tatusiu.

– Stiepan, idź i urznij mi dobrą, świeżą brzozową, różgę...

– Niech tatuś zaczeka, ja sam wszystko opowiem. Biegałem dzisiaj po podwórzu, a siostrzyczka Maria Kiryłowna otworzyła okno, a ja podbiegłem, a siostrzyczka niechcący upuściła pierścionek, a ja go schowałem do dziupli, a – a... ten rudy chłopak chciał ten pierścionek ukraść.

– Niechcący upuściła, a ty chciałeś schować... Stiepan, idź po różgi.

– Tatusiu, niech tatuś zaczeka, ja wszystko opowiem. Siostrzyczka Maria Kiryłowna kazała mi pobiec do dębu i schować pierścionek w dziupli. I ja pobiegłem, i położyłem, a ten wstrętny chłopak...

Kiryła Pietrowicz zwrócił się do wstrętnego chłopaka i zapytał go groźnie:

– Czyj jesteś?

– Jestem z dworskiej służby państwa Dubrowskich – odpowiedział rudy chłopiec.

Kiryła Pietrowicz spochmurniał.

– Zdaje się, że nie uznajesz mnie za pana, dobrze – powiedział. – A co robiłeś w moim ogrodzie?

– Maliny kradłem – odpowiedział chłopak z niewzruszonym spokojem.

– Aha – zauważył Kiryła Pietrowicz – służba idzie w pańskie ślady: jaki pan, taki kram; a czy maliny rosną u mnie na dębach?

Chłopak nic nie odpowiedział.

– Tatusiu, niech mu tatuś każe oddać pierścionek – rzekł Sasza.

– Milcz, Aleksandrze – odpowiedział Kiryła Pietrowicz – nie zapominaj, że mam zamiar się z tobą rozprawić. Idź do swego pokoju. Ty, zezowaty, zdaje się, że jesteś chłopak do rzeczy. – Oddaj pierścień i ruszaj do domu.

Chłopak otworzył zaciśniętą pięść i pokazał, że nic nie ma w ręku.

– Jeżeli mi się przyznasz do wszystkiego, to ci nie sprawię lania i dam jeszcze piątkę na orzechy. A jak nie, to cię urządzę tak, że cię rodzona matka nie pozna. No!

Chłopak nie odpowiedział ani słowa i stał pochyliwszy głowę z miną prawdziwego głuptasa.

– Dobrze – rzekł Kiryła Pietrowicz – zamknijcie go tam gdzieś i uważajcie, żeby nie uciekł, bo wszystkim tutaj w domu skórę złoje.

Stiepan zaprowadził chłopca do gołębnika, zamknął go tam i nakazał starej ochmistrzyni Agafii, aby go pilnowała.

– Natychmiast jechać do miasta po sprawnika – rzekł Kiryła Pietrowicz odprowadzając chłopca wzrokiem – i to jak najszybciej.

„To nie ulega wątpliwości, ona jest w porozumieniu z tym przeklętym Dubrowskim. No tak, a jeżeli istotnie wzywała go na pomoc? – myślał Kiryła Pietrowicz przechadzając się po pokoju i gniewnie pogwizdując *Grom zwycięstwa*. – Być może natrafiłem na jego gorący ślad i już się teraz od nas nie wywinie. Wykorzystamy ten przypadek. O! dzwonek, dzięki Bogu, to sprawnik.”

– Hej, przyprowadzić tu złapanego chłopaka.

Tymczasem przed dom zajechał wózek i znajomy już nam sprawnik, okryty pyłem, wszedł do pokoju.

– Dobra wiadomość – powiedział do niego Kiryła Pietrowicz – schwytałem Dąbrowskiego.

– Dzięki Bogu, wasza ekscelencjo – rzekł uradowany sprawnik – a gdzie on jest?

– To znaczy nie Dubrowskiego, ale jednego z jego bandy. Zaraz go tu przyprowadzą. Pomoże nam schwycić samego herszta. O, właśnie go przyprowadzili.

Sprawnik, który spodziewał się groźnego zbója, był zdumiony ujrawszy trzynastoletniego chłopca dość słabej kompleksji. Zwrócili się niepewnie do Kiryły Pietrowicza i czekał na wyjaśnienie. Kiryła Pietrowicz zaczął opowiadać o porannym wydarzeniu, nie wspominając jednak nic o Marii Kiryłownie.

Sprawnik wysłuchał go z uwagą, co chwila spoglądając na małego niegodziwca, który udając głuptasa zdawał się nie zwracać uwagi na to, co się wokoło niego dzieje.

– Niech wasza ekscelencja pozwoli pomówić z sobą na osobności – rzekł wreszcie sprawnik.

Kiryła Pietrowicz zaprowadził go do drugiego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Po pół godzinie wyszli znowu do sali, gdzie jeniec czekał na rozstrzygnięcie swego losu.

– Jaśnie pan chciał – powiedział mu sprawnik – wsadzić cię do więzienia, osmagać, a potem zesłać na osiedlenie, ale ująłem się za tobą i wyprosiłem przebaczenie. – Rozwiązać go. – Chłopca rozwiązano.

– Podziękuj jaśnie panu – rzekł sprawnik.

Chłopiec zbliżył się do Kiryły Pietrowicza i pocałował go w rękę.

– Ruszaj do domu – odezwał się Kiryła Pietrowicz – i na przyszłość nie kradnij malin z dziupli.

Chłopiec wyszedł, wesoło zeskoczył z ganku i nie oglądając się, puścił się biegiem na przełaj przez pole do Kistieniewki. Dobiegłszy do wsi stanął przed na wpół rozwaloną chatką, pierwszą ode drogi, i zastukał do okienka... Okno uniosło się do góry i ukazała się w nim staruszka.

– Babciu, chleba – poprosił chłopiec – od rana nic nie jadłem, umieram z głodu.

– Ach to ty, Mitia, gdzieś ty się podziewał, urwisie? – odpowiedziała staruszka.

– Opowiem później, babciu, na miłość boską, daj mi chleba.

– Ale wejdź przynajmniej do chaty.

– Nie mam czasu, babciu, muszę jeszcze pobiec w jedno miejsce. Chleba, na miłość boską, daj mi kawałek chleba.

– A to wiercipięta – zamruczała staruszka – no, masz skibkę – i przesunęła przez okno kromkę czarnego chleba.

Chłopiec chciwie odgryzł kęs i natychmiast ruszył w dalszą drogę.

Zapadał zmierzch. Mitia przekradał się za stodołami przez ogrody do kistieniewskiego lasu. Gdy doszedł do dwóch sosen, które stały jak przednia straż, zatrzymał się, rozejrzał się na wszystkie strony, gwizdnął krótko a przeraźliwie i zaczął nadśluchować; w odpowiedzi usłyszał lekki przeciągły gwizd, ktoś wyszedł z gaju i zbliżył się do niego.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Kiryła Pietrowicz krążył tam i z powrotem po sali wygwizdując swoją pieśń głośniejszą niż zazwyczaj. Cały dom był w ruchu – służący biegali, dziewczęta krząły się, w wozowni woźnice zaprzęgali konie do karety. Na dworze tłoczył się lud. W garderobie panny, przed lustrem, dama przy pomocy pokojówek ubierała bladą, nieruchomą Marię Kiryłownę. Głowa jej ze znużenia opadała pod ciężarem brylantów. Maria Kiryłowna z lekka się wstrząsała, gdy nieostrożna ręka ukłuła ją przypadkiem, ale milczała, bezmyślnie patrząc w lustro.

– Czy długo jeszcze? – rozległ się za drzwiami głos Kiryły Pietrowicza.

– Za chwileczkę – odpowiedziała dama. – Mario Kiryłowno, niech pani wstanie i przejrzy się w lustro; czy ładnie pani wygląda?

Maria Kiryłowna wstała nie odpowiadając ani słowa. Drzwi się otworzyły.

– Panna młoda gotowa – rzekła dama do Kiryły Pietrowicza – niech pan każe siadać do karety.

– Z Bogiem – odpowiedział Kiryła Pietrowicz biorąc ze stołu ikonę. – Zbliź się do mnie, Masza – rzekł do niej wzruszonym głosem – pobłogosławie cię...

Nieszczęśliwa dziewczyna upadła mu do nóg i załkała.

– Ojczulku... ojczulku... – mówiła tonąc we łzach, a głos jej zamierał.

Kiryła Pietrowicz pospiesznie udzielił jej błogosławieństwa, Maszę podniesiono i prawie zaniesiono do karety. Siadła przy niej przybrana matka i jedna ze służących. Pojechali do cerkwi. Tam już oczekiwał ich pan młody. Wyszedł naprzeciw narzeczonej, przeraziła go jej bladość i dziwny wygląd. Weszli razem do zimnej, pustej cerkwi, zamknięto za nimi drzwi. Pop wyszedł zza ołtarza i natychmiast rozpoczął obrzęd. Maria Kiryłowna nic nie widziała, nic nie słyszała, myślała tylko o jednym; od samego rana czekała na Dubrowskiego, ani na chwilę nie opuściła jej nadzieja, ale gdy kapłan zwrócił się do niej ze zwykłym pytaniem, drgnęła i zamarła, lecz jeszcze zwlekała, jeszcze oczekiwała; kapłan nie doczekawszy się jej odpowiedzi, wyrzekł nieodwracalne słowa.

Obrzęd był skończony. Poczula oziębły pocałunek niemilego małżonka, słyszała wesole życzenia obecnych i wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć, że życie jej było na wieki skowane, że

Dubrowski nie przybiegł jej uwolnić. Książę zwrócił się do niej z czułymi słowami, nie rozumiała ich, wyszli z cerkwi, w kruchcie tłoczyli się chłopci ze wsi Pokrowskoje. Spojrzenie jej przebiegło po nich szybko i znów wydawało się nieczułe jak poprzednio. Młodzi siedli razem do karety i udali się do Arbatowa, dokąd wyruszył już Kiryła Pietrowicz, ażeby ich przywitać. Sam na sam z młodą żoną książę nie był bynajmniej zmieszany jej oziębłością. Nie zaczął dręczyć jej ekliwymi wyznaniem i śmiesznymi zachwytemi, słowa jego były proste i nie wymagały odpowiedzi. W ten sposób przejechali około dziesięciu wiorst, konie pędziły szybko po nierównej bocznej drodze, a kareta prawie się nie chwiała na angielskich resorach. Naraz rozległy się okrzyki pogoni, kareta się zatrzymała, otoczył ją tłum uzbrojonych ludzi – i zamaskowany mężczyzna, otwierając drzwiczki karety od strony, gdzie siedziała młoda księżna, powiedział do niej:

- Jest pani wolna, może pani wyjść.
- Co to znaczy – zawołał książę – kim jesteś...
- To jest Dubrowski – rzekła księżna.

Książę, nie tracąc zimnej krwi, wyjął z bocznej kieszeni podróżny pistolet i strzelił do zamaskowanego zbrojcy. Księżna krzyknęła i w przerażeniu zasłoniła twarz obiema rękami. Dubrowski był zraniony w ramię. Ukazała się krew, książę, nie tracąc ani chwili, wyjął drugi pistolet. Nie zdążył jednak wystrzelić, gdy drzwiczki się otworzyły i kilka silnych rąk wyciągnęło go z karety i wyrwało mu pistolet. Zabłyły nad nim noże.

- Nie ruszcie go! – zawołał Dubrowski i ponurzy jego towarzysze cofnęły się.
- Jest pani wolna – mówił dalej Dubrowski zwracając się do poblądłej księżny.
- Nie – odpowiedziała. – Za późno, już po ślubie, jestem żoną księcia Wierejskiego.
- Co pani mówi – zawołał z rozpaczą Dubrowski – nie, pani nie jest jego żoną, przymusili cię, nigdy nie mogłaś się zgodzić...

– Zgodziłam się i przysięgłam – odparła ze stanowczością – książę jest moim mężem, niech pan go każe uwolnić i pozostawi mnie z nim. Nie oszukałam pana. Czekałam do ostatniej chwili, ale teraz, powiadam panu, teraz jest już za późno, niech pan nas zwolni.

Ale Dubrowski już jej nie słyszał; ból wywołany przez ranę i silne wzruszenie pozbawiły go sił. Upadł tuż przy kole, rozbójnicy otoczyli go. Zdażył powiedzieć im kilka słów, posadzili go na konia, dwaj zbrojcy go podtrzymywali, trzeci wziął konia za uzdę i wszyscy pojechali w las, pozostawiając pośrodku drogi karete, związanych ludzi, wyprężnięte konie, ale nic nie rozgrabiwszy i nie przelawszy ani jednej kropli krwi w pomście za przelaną krew swojego atamana.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Pośród gęstego boru na w ***-skiej polance wznosiło się niewielkie ziemne obwarowanie składające się z wału i rowu, poza którymi stało kilka szałasów i ziemianek.

Mnóstwo ludzi, których po różnorodnej odzieży i po jednolitym uzbrojeniu można było od razu określić jako zbójców, jadło obiad siedząc bez czapek około wspólnego kotła. Na wale, tuż przy małej armatce, siedział podwinąwszy pod siebie nogi wartownik; co chwila rozglądał się na wszystkie strony i latał pewną część swego ubrania, władając igłą ze sztuką, która zdradzała doświadczonego krawca.

Pomimo że pełny dzbanek już kilka razy przechodził z rąk do rąk, dziwne milczenie panowało w tym tłumie. Zbójcy zjedli obiad, jeden po drugim wstawali i odmawiali modlitwę, niektórzy rozeszli się po szałasach, inni rozproszyli się po lesie lub też, rosyjskim zwyczajem, pokładli się do drzemki.

Wartownik skończył swoją pracę, potrząsnął łaszkiem, z zadowoleniem przyjrzał się łacie, wpiął igłę w rękaw, siadł okrakiem na armacie i pełnym głosem zaśpiewał melancholijną starą pieśń:

Nie szumże mi, matko zielona dąbrowo,
Pozwól mi, zuchowi, myśli przemyśleć.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi jednego z szałasów i na progu ukazała się czysto i starannie ubrana staruszka w białym czepku.

– Przestałbyś, Stiopka – powiedziała z gniewem – pan śpi, a ty drzesz się na całe gardło – nie macie ni sumienia, ni wyrozumienia.

– Przepraszam, Jegorowno – odpowiedział Stiopka – dobrze, nie będę już więcej, niech on sobie, nasz kochany, śpi spokojnie i wraca do zdrowia.

Staruszka odeszła, a Stiopka zaczął przechadzać się po wale.

W szałasie, z którego wyszła staruszka, za parawanem ranny Dubrowski leżał na polowym łóżku. Przed nim leżały na stoliku pistolety, a u wezglowia wisiała szabla. Ziemianka była wysłana i obwieszona bogatymi dywanami, w rogu stały damskie srebrne przybory toaletowe

i zwierciadło. Dubrowski trzymał w ręku otwartą książkę, lecz oczy miał zamknięte. Staruszka, która spoglądała spoza parawanu, nie wiedziała, czy zasnął, czy tylko się zamyślił.

Naraz Dubrowski drgnął – w forcie rozległ się alarm – i Stioпка wsadził głowę przez okno:

– Dobrodzieju, Władimirze Andrejewiczu – zawołał – nasi dają sygnał, idzie oblawa.

Dubrowski zerwał się z łóżka, chwycił za broń i wyszedł z szałas. Rozbójnicy z gwarem gromadzili się na dworze, na jego widok zapanowało głębokie milczenie.

– Czy wszyscy są tutaj? – zapytał Dubrowski.

– Wszyscy prócz wartowników – odpowiedziano.

– Na miejsca! – zawołał Dubrowski i każdy ze zbójców zajął z góry określone miejsce.

W tej samej chwili trzech wartowników przybiegło do bramy; Dubrowski poszedł im naprzeciw.

– Co się stało? – zapytał.

– W lesie są żołnierze – odpowiedzieli – otaczają nas.

Dubrowski kazał zamknąć bramę, a sam poszedł sprawdzić armatkę. W lesie rozległo się kilka głosów – głosy zaczęły się zbliżać – zbójcy czekali w milczeniu. Naraz ukazało się zza drzew trzech czy czterech żołnierzy, którzy natychmiast się cofnęli zawiadamiając wystrzałami towarzyszy.

– Szykujcie się do bitwy – rzekł Dubrowski i pomiędzy zbójcami podniósł się szmer. Znow wszyscy ucichli.

Wówczas usłyszeli kroki zbliżającego się oddziału. Pomędzy drzewami błysnęła broń, około stu pięćdziesięciu żołnierzy wysypało się z lasu i z krzykiem rzuciło się na wał. Dubrowski przyłożył lont, wystrzał był celny; jednemu oderwało głowę, dwaj inni byli ranni. Pomędzy żołnierzami nastąpiło zamieszanie, ale oficer skoczył naprzód. Pobiegli za nim żołnierze i skoczyli do rowu; zbójcy wystrzelili do nich z karabinów i pistoletów i z toporami w ręku zaczęli bronić wału, na który drapali się rozwścieczeni żołnierze, zostawiwszy w rowie około dwudziestu rannych kolegów. Rozpoczęła się walka wręcz, żołnierze już byli na wale, zbójcy zaczęli się cofać, ale Dubrowski, podszedłszy do oficera, przystawił mu pistolet do piersi i wystrzelił, oficer runął na wznak, kilku żołnierzy chwyciło go na ręce i pośpiesznie uniosło w las. Reszta, pozbawiona dowódcy, zatrzymała się. Zbójcy, nabrawszy otuchy, skorzystali z chwilowego zamieszania, zgnetli ich, zepchnęli do rowu, oblegający rzucili się do ucieczki – rozbójnicy z wrzaskiem podążyli za nimi. Zwycięstwo było przesądzone. Dubrowski, licząc na całkowitą rozsypkę nieprzyjaciela, zatrzymał swoich i zamknął się w forcie, nakazując uprzednio zabrać rannych, podwoić warty i nie wydalać się z obozu.

Ostatnie wypadki nie na żarty zwróciły uwagę władz na zuchwałę rozboje Dubrowskiego. Zebrano wiadomości o miejscu jego pobytu. Odkomenderowano rotę żołnierzy, aby go ujęli – żywego lub umarłego. Schwytano kilku zbójców z jego bandy i otrzymano od nich wiadomość, że Dubrowskiego już pomiędzy nimi nie było. W kilka dni po potyczce zebrał on wszystkich swych kamratów, oświadczył, że ma zamiar na zawsze ich porzucić, radził, aby i oni zmienili tryb życia.

– Zbogaciliście się pod moim dowództwem, każdy z was wygląda tak, że może bezpiecznie przedostać się do jakiejś oddalonej guberni i tam spędzić resztę życia na uczciwej pracy i w dostatku. Ale wy wszyscy jesteście łotry i zapewne nie zechcecie porzucić waszego rzemiosła.

Po tym przemówieniu odszedł, biorąc ze sobą jedynie **. Nikt nie wiedział, gdzie się podział. Z początku władze wąpiły w prawdziwość tych zeznań – znane było oddanie zbójców dla swojego atamana. Sądono, że starali się go w ten sposób ocalić, lecz przyszłość dowiodła prawdy ich słów – groźne napady, pożary i grabieże ustały – drogi stały się bezpieczne. Inne wieści doniosły, że Dubrowski ukrył się za granicą.

(1832–1833)

Korekta: Krystyna Kluska